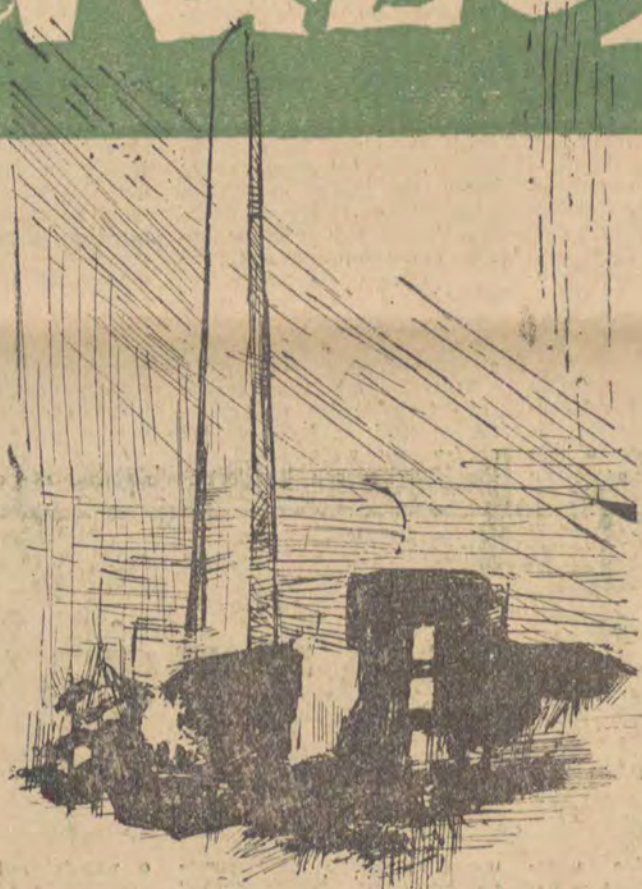


Reportaż
wyróżniony
przez
redakcję
w konkursie
"Opisanie
Łodzi"

odgłosy

pekniety

wazon



ŚWIADECTWO URODZENIA

Chłubi się mianem jednej z najstarszych osad okręgu. Kroniki zanotowały, że w roku 1242 odbył się tu ogólnokrajowy zjazd książąt polskich.

Stanowiła kiedyś olbrzymie latyfundium, sięgające swymi południowymi granicami dzisiejszego Bałuckiego Rynku. Wielkokapitałowy-

na Łódź i fudalna Radogoszczę współżyły ze sobą zgodnie do lat sześćdziesiątych ubiegłego wieku.

Po upadku powstania styczniowego majątek został rozparcelowany. Nieco póź-

niej jego „serce” — dwór wraz z przyległymi lasami — kupił fabrykant Heinzel i założył w tym miejscu swoją rezydencję — Julianów. Nazwa szybko przyjęła się, zarówno więc posiad-

łość Heinzla, jak i tereny leżące na południe od niej, rychło przestano nazywać Radogoszczą. Ale obszar administracyjny — gminy Radogoszcz do roku 1915 rozciągał się po plac „Kościelny”, wójt zaś radogoski „czadził” stutysiecznymi już podówczas Bałutami.

W roku 1915 nie tylko zwycajowo, lecz również formalnie musiała Radogoszcz „wycofać się” na dalsze rubieże Wytyczona przez granicę niemieckie nowa granica Łodzi pobięła od wschodu, powyżej Julianowa ulicą Sowińskiego, następnie wzdłuż Zgierskiej odchyliła się na południe, omijając prastarą wieś Radogoszcz, po czym znowu łukiem na północny zachód (ulicą Teresy).

Na północ od nowych granic ostała się Radogoszcz, na skrawkach dawnego terytorium, z historycznego latyfundium zdegradowana do roli nie całkiem zwyczajnego przedmieścia.

Dalszy ciąg

na str. 6

TYGODNIK

ŁÓDZKI

Rok IV. Nr 36 (184)

Łódź, 10. IX.

1961 r.

cena

1 zł

ZBIGNIEW NIENACKI

Worek JUDASZÓW

Motto:

„Ten pstry worek u pasa, wszak go baczysz i ty,
Jest z rozmaitej jerchy misternie uszyty —
Najdziesz tu skórę wilczą, znajdziesz tu i lisią
Jeno się dobrze przypatrz, znajdziesz lwia
i rysią”.

(„Worek Judaszów”, Sebastian F. Klonowicz).

„W dniu 26 kwietnia 1946 r. koło klasztoru w Dąbrowie w pow. R. odnaleziono spadochron z angielskimi napisami. Mimo tajemnicy z naszej strony, wieść o odkrytym spadochronie rozeszła się bardzo szeroko...”

(z meldunku Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego w R.).

Nad ranem Albert wsiadł do przedziału, w którym jechała piękna kobieta w karakułowym futrze. Z początku nie zwrócił na nią uwagi. Za zaparowanymi szybami pociągu wstawał mokry kwietniowy dzień, w przedziale było aż duszno od smrodu machorki, u sufitu żarzyła się różowo malutka lampka, twarze podróżnych zdawały się wymęczone i chore.

Pod oknem z policzkiem na barwnej okładce powieści kryminalnej spał zażywny księżula, zapewne pleban wiejski jadący w odwiedziny do krewnych; z dużego kosza u jego stóp wychylał się zakrwawiony kikut indyjskiej szyi. Naprzeciw księdza rozparty łokciami na stoliku nieustannie jadł chudy mężczyzna w rogowych okularach. Najpierw na framudze okna tłukł pięścią łaskowe orzechy, potem wyjął z teczki jaja na twar- do, kielbasę, bułki, teraz żuł cukierki i czekoladki.

Jadł tak przez cztery stacje. Irytowało to głodnego Alberta.

W przedziale kucnęły dwie baby wiejskie, zakutane w chustki; ich kosze i brzuchate tłumeki zajmowały prawie wszystkie miejsca na półkach. Przy Albercie tkwił czerwonoarmista kurzący smrodliwą machorkę.

Młoda kobieta w karakułach siedziała obok bab-spekulantek. Postawiła kołnierz futra i zaczęła drzeć. W pewnej chwili, śpiąc, złożyła nogę na nogę, futro rozchyliło się zadzierając sukienkę — za- jaśniały kolana obciagnięte cielestą pończoszka. Gładkie, okrągłe i nagie mimo pończoch, wprost rzuciły się w oczy; były tak blisko, że wystarczyło wyciągnąć rękę, aby dotknąć lśniącej powierzchni pończochy. Nagle kobieta poruszyła się sennie, zsunęła nogę z kolana i Albertowi zdawało się, że błysnął jaśniejszy skrawek ciała.

Okularnik spod okna przestał żuć i zezując na odsłonięte kolana z niespodziewaną wytwornością otarł chusteczką wilgotne wargi. Drgnął księżula, osowiało rozejrział się po przedziale: w brudnym mroku nie sposób było uciec oczami od białej goliżny obrzeżonej futrem i czarna spodnią. Pleban sięgnął do kosza po gruby bre- wiarz, ze złością szarpnął czerwona tasiemka zakładki i obciążając grzechem zmrok poranku, bezczelnie zaczął pa- trzyć na kolana damy w karakułach.

Na przystanku w S. młoda kobieta obudziła się jak by



przejęta złym snem. Nerwowymi ruchami otrząsnęła się z jakichś majaków — poprawiła włosy, suknię, spoj- rzrzała na zegarek. Gwałtownie zerwała się z ławki i podbie- gła do okna.

— Duszno tu — stwierdzi- ła głośno.

Pleban usłusznie szarpnął okno, podziękowała mu ni- kłym uśmiechem. Wyjmując z kieszeni futra czerwoną jedwabną chusteczkę w bia- le grochy, wychyliła się na peron wdychając zimne, szkl- ste powietrze. W brzasku dnia jej puszyste włosy okazały się miedziane, a na białej twa- rzy gdzieś tam zaznaczyły się złote centki. Była bardzo piękna — z orlim nosem, małymi ustami i ową białą twarzą, jak by nigdy nie dot- knięta przez słońce.

Pociąg ruszył. Pęd wiatru chwycił koniec jej czerwonej

Dalszy ciąg

na str. 9



JACEK LEBEN

TRZECI ŚWIAT

Rozpoczęta 1 września w Belgradzie konferencja szefów rządów krajów niezaangażowanych skoncentrowała raz jeszcze uwagę opinii publicznej na problemach związanych z dużą rzeszą wielkich, średnich i małych krajów świata, nie należących do żadnego z bloków, zbierających żniwo kolonialnego zacołania, a mimo to przejawiających coraz większą aktywność na arenie międzynarodowej.

O tempie przemian we współczesnym świecie decyduje będzie nie tylko wynik współzawodnictwa między wspólnotą krajów socjalistycznych, a światem imperialistycznym (choć będzie to miało znaczenie generalne), ale również kierunek przemian w Azji, Afryce i Ameryce Łacińskiej, bowiem na tych właśnie kontynentach neutralizm czyni największe postępy.

W Stanach Zjednoczonych ukazała się na przykład książka Feareya pt. „Stany Zjednoczone przeciwko ZSRR, wrocie ideologiczne”. Publikacja ta jest dlatego ciekawa, że

Ideolodzy zachodniego świata, publicyści, rzecznicy rządów snują na ogół pesymistyczne rozważania na temat kierunków sympatii krajów pokolonialnych. Wyrażają oni opinie, że program świata socjalistycznego ma dla tych krajów większą siłę przyciągania. Piszą oni teraz na marginesie obrad konferencji belgradzkiej, że rzadzy krajów niezaangażowanych stosują dwie miarki — jedną w ocenie świata, socjalistycznego, drugą w ocenie świata kapitalistycznego.

Warto wspomnieć, że słynny John Forster Dulles ubolewał, że filozofowie zachodni nie są zdolni „sformułować fundamentalnej filozofii naszych czasów, filozofii posiadającej głęboką siłę przekonywania i dużą siłę przy-

tycy lekcją wskazującą najkrótszą drogę do uprzemysłowienia. „My, Amerykanie nie możemy zaproponować systemu ekonomicznego, który by pozwolił krajom neutralnym rozwijać się w pożądanym dla nich tempie”.

Właśnie z powodu słabości ideologicznej zachodniego świata Fearey odrzuca koncepcję pokojowego współistnienia pocieszając się, że żadne prawdy „nawet najbardziej fundamentalne nie mogą zastąpić siły i własnej siły... zadecyduje o przebiegu walki w zimnej wojnie”.

Warto wspomnieć, że słynny John Forster Dulles ubolewał, że filozofowie zachodni nie są zdolni „sformułować fundamentalnej filozofii naszych czasów, filozofii posiadającej głęboką siłę przekonywania i dużą siłę przy-

przedmiotem wyzwisku potro-
lionalnego”. I dalej: „Rewolucja narodowo-wyzwoleńcza nie kończy się z chwilą zdobycia niezawisłości politycznej. Niezawisłość ta będzie chwiejna i przekształci się w fikcję jeżeli rewolucja nie doprowadzi do głębokich zmian w życiu społecznym i ekonomicznym, nie rozwiąże pilnych zadań odrodzenia narodowego”.

Odrębność części kapitalistycznych krajów kapitalistycznego świata polega na tym, że zarówno wczoraj, jak i dzisiaj muszą walczyć przeciwko imperialistycznej nomenklaturze. Natomiast ich rozwój ekonomiczny jest w pełni popierany przez świat socjalistyczny.

Rządzi w tych krajach burżuazja, ale burżuazja typu narodowego, burżuazja patrio-

go wskazuje na to, że w ciągu życia jednego pokolenia można się wyrwać z warunków zacołania i wejść do czołówek rozwiniętych krajów świata. Na tych wielkich kontynentach nie może zadziać ulubiony na zachodzie straszak antykomunizmu. Wprost przeciwnie — socjalizm ma niezwykłą atrakcyjną moc, i to dlatego Nehru, U Nu, Nkrumah, Nasser mówią o socjalizmie, choć wyobrażają go sobie każdy na swój sposób. Plany gospodarcze, rozumienie dla prymatu budowy ciężkiego przemysłu, inwestycje podejmowane przez sektor państwowy, a nawet uspołdzielczanie wsi — wszystko to za naszym przykładem.

Decydujące znaczenie posiada tu stosunek do pokoju i zimnej wojny. Kraje te są jak najbardziej zainteresowane w przyjęciu zasad pokojowego współistnienia. Zimnowojenny podział świata przeszkadza im w rozwoju. Wyścig zbrojeń decyduje o tym, że pomoc którą mogą otrzymać jest znikoma w stosunku do potrzeb. Nic więc dziwnego, że w sprawach pokoju i pokojowego współistnienia głos tych krajów waży w istotny sposób na szali tej idei, której świat socjalistyczny jest najbardziej konsekwentnym orędownikiem.

Oświadczenie moskiewskie a teraz projekt programu KPZR precyzuje nowy termin „państwo demokracji narodowej”. Jest to państwo o antyimperialistycznym charakterze w polityce zagranicznej i postępowej polityce wewnętrznej, opartej o wspólny front wszystkich patriotycznych sił. Oczywiście jest to formacja nietrwała, która stanowi punkt wyjścia albo w kierunku na socjalizm albo też w kierunku na bardziej wykształcony kapitalizm. Ku ba na przykład wychodząc z pozycji wyjściowych państwa narodowej demokracji poszła w kierunku socjalizmu. Gwinea i Ghana spełniają w tej chwili wszystkie warunki państwa narodowej demokracji. Dokąd pójdą w przyszłości, to właśnie przyszłość pokaże. Zjednoczona Republika Arabska spełnia zewnętrzny warunek państwa narodowej demokracji realizując antyimperialistyczną politykę, ale nie spełnia wewnętrznego warunku, dyskryminując partię komunistyczną, nie dopuszczając do

utworzenia jednolitego frontu wszystkich patriotycznych sił.

Skoncentrowałem swoją uwagę, Czytelniku, na dość trudnych i złożonych problemach ideologicznych, ale sądzę, że bez ich zrozumienia trudno często ocenić właściwy stosunek krajów niezaangażowanych do aktualnych problemów politycznych. Właśnie ich niezaangażowanie polityczne, obok zrozumienia generalnych linii rozwojowych ludzkości pozwala im z pewnego dystansu realistycznie ocenić sytuację światową. Taką ocenę otrzymałem w Belgradzie ku wdzięczności Adenauera problem niemiecki. Prezydent Tito, premier Nehru, prezydent Nkrumah, a więc najbardziej reprezentatywni przywódcy tak zwanego trzeciego świata opowiedzieli się za faktycznym uznaniem istnienia dwóch państw niemieckich. Korespondent DPA z Belgradu Bargman stwierdza ze smutkiem: „Z wszystkich dotychczasowych przemówień w Belgradzie trzeba wyciągnąć jednoznaczny wniosek. Że świat afro-azjatycki jest coraz bardziej zmęczony problemem niemieckim, i że pozostały świat — zdaniem zebranych w Belgradzie mężów stanu — powinien się pogodzić z istniejącą polityczną rzeczywistością”.

Konferencja belgradzka nie zakończyła jeszcze obrad. Nie ulega jednak wątpliwości, że mimo całej ostrożności przywódców krajów niezaangażowanych przy formułowaniu politycznych wniosków, opowie się ona za pokojowym współistnieniem, a to przecież samo w sobie jest niebezpieczne dla zachodniego świata.



WŁADYSŁAW BORTNOWSKI

NA TROPACH WRZEŚNIA

Korespondencja

Redakcja tygodnika „Odgłosy”

W związku z artykułem pt. „Dlaczego Gagarin nie mógłby wylądować w Łodzi?” zamieszczonym w numerze 19 Waszego pisma z dnia 14. V, br. Departament Lotnictwa Cywilnego wyjaśnia, że połączenia lotnicze z Łodzi zostały zawieszone z dniem 1. I. 1959 r. ze względu na usprawnienie komunikacji kolejowej trasą elektryczną do Warszawy, co przy małej odległości tego odcinka stwarza możliwość przebiegu w tym samym mniej więcej czasie co linia lotnicza, a także z uwagi na bardzo niską frekwencję podróży w samolotach na innych trasach (w okresie szczytu 3-8 pasażerów na 21 miejsc w samolocie).

Z powyższych powodów uruchomienie połączeń lotniczych Łodzi z innymi miastami nie zostało przewidziane w planie 5-letnim resortu komunikacji na okres 1961-65.

Ponieważ przestanki, którymi kierował się resort komunikacji, zawieszając linie lotnicze do Łodzi, istnieją nadal, nie może być również brane pod uwagę ponadplanowe uruchomienie takich połączeń.

Dyrektor
Departamentu Lotnictwa
Cywilnego
inż. Jan Zwierzynski

Krótkotrwała kampania wrześniowa nie stanowi już dziś ladu nieznanego; przeciwnie, ustalono stosunkowo dokładnie, nawet w szczegółach, jej przebieg, zaś nowe odkrycia są możliwe, lecz w już nader ograniczonym zakresie. Literatura wrześniowa wydana zarówno w kraju jak i za granicą tworzy bibliotekę wcale pokaźnych rozmiarów, a nowe pozycje tej tematyki znajdują się ciągle chętnych nabywców.

Lecz w miarę ilościowego narastania literatury wrześniowej obraz wydarzeń w tym czasie, który konfrontuje ukazujące się pozycje, jest wciąż daleki od obiektywnej rzeczywistości. Autorzy z uporem przedstawiają tylko półprawdę, tylko własny, zawężony obraz prawdziwej w szczególności, lecz pozbawiony tła, bogaty w fakty lecz żenująco ubogi jeśli chodzi o ich wyjaśnienie.

Uczestnicy każdej przegranej walki starają się ex post usprawiedliwić sobie, znaleźć obiektywne przesłanki, które pozwalałyby twierdzić: „zrobiliśmy co było w naszej mocy, ulegliśmy, bo siły były zbyt nierówne”.

Ten motyw stanowi myśl przewodnią także licznych pamiętników wspomnień opra-

cowań pozostawionych przez uczestników powstania listopadowego. Deklarowali, że pisała prawdę o powstaniu, a w istocie kreślili swoją tylko wizję, wyjaśniającą własne tylko postępowanie.

Podobna tendencja widzieliśmy w poszczególnych pozycjach literatury wrześniowej pisanej prawie wyłącznie przez bezpośrednich uczestników wydarzeń. Ładunek przeżyć, sympatii i antypatii, chęć wykazania się „spełniliśmy obowiązek” zawęża pogląd na całość wydarzeń. Chęć usprawiedliwienia swego postępowania każe szukać dalej lub bliżej, przyszłościowych kodów ofiarnych.

Nawet tak krytycznie nastawiony badacz, jakim był gen. Jerzy Kiehmayer, nie mógł wyrwać się z kręgu poglądów dyplomowanego oficera przedwrześniowej armii, urażonego na generałów — sa mowników; nie potrafił on zarazem rozstrzygnąć sprawy czysto wojskowych jako wyniku ówczesnego ustroju, ekonomiki i przeciwieństw politycznych tak charakterystycznych dla struktury społecznej tamtego okresu.

Kiehmayer położył duże zasługi w odtworzeniu zarówno przebiegu działań, jak i w skróceniu stosunkowo wszechstronnej charakterystyki wyższych dowódców. Przyczynił się do obalenia wielu mitów, które narastały wokół kampanii wrześniowej. Ale czy nie tworzył sam nowych?

Wiele plotek, które uporczywie utrzymywały się w opinii publicznej, części naszego społeczeństwa minęło już bezpowrotnie. Dziś chyba nikt rozsądny nie będzie powtarzał owych wieści o sierżantach do wodzących pułkami, ani o jakimś niemal powszechnym technostwie oficerów zawodowych przy równoczesnym tak-że powszechnym bohaterstwie podchorążych. Lecz w warunkach bardziej krytycznego rozstrząsania dzieł kampanii rodzą się niestety nowe mity i legendy.

Wyjątkową pozycję na liście literatury wrześniowej stanowi wspomnienia gen. J. Rómmla wydane w formie książkowej pod pretensjonalnym tytułem „Za honor i ojczyznę”. Autor w oparciu o zachowane akta operacyjne armii „Łódź” i „Warszawa” kreśli swoje wspomnienia. Tendencja pracy jest nader przejrzysta.

Rómmel usiłuje udowodnić, że jako dowódca armii „Łódź” wraz z podkomendnymi wypelniał obowiązki żołnierski do końca, że przewidywał „z fotograficzną dokładnością” przebieg wypadków, którym nie mógł przeciwstawić się wobec nieudolności naczelnego dowódcy. Przy okazji Rómmel dokonał wielu rozrachunków osobistych i zniekształceń faktograficznych.

Publikacja wywołała szeroki rezonans wśród uczestników kampanii. Kiehmayer i Cwierdzinski zamieścili obszernie

uwagi na łamach „Wojskowego Przeglądu Historycznego” (1959), a w Londynie opublikowali sprostowania były szef sztabu generalnego gen. Stachiewicz oraz szef sztabu armii „Łódź” płk. Pragłowski.

Publikacja gen. Rómmla stanowi zjawisko odosobnione. Do tak daleko posuniętych zniekształceń minionej rzeczywistości nie posunął się żaden inny autor (mam na myśli prace ogłoszone w kraju), lecz mimo tego nakreślony obraz stanowi jakąś półprawdę.

Wystarczy sięgnąć do napiętych z talentem wspomnień np. por. z 1939 r. Apoloniusza Zawilskiego („Bateria została”), czy wspomnień kpt. Stanisława Truszkowskiego („Mój wrzesień”), by zarazić się ogromem technicznej przewagi nie przyjaciela i własną bezbronnością, grozą nierównej walki, lecz równocześnie niemal powszechnych bohaterstwem oficerów, podoficerów i żołnierzy.

Nie mam zamiaru kwestionować faktów podanych w tych pracach, ale jak w każdej wojnie było i we wrześniu sporo panikarstwa, zalamywania się, po prostu strachu. Ta druga „wstydlawa” strona medalu jest w literaturze wrześniowej albo pomijana, albo tylko skromnie wspomniana.

Łoć opublikowanych pozycji literatury wrześniowej jest niewspółmiernie do znajomości tego okresu przez szerokie kręgi naszego społeczeństwa. Zwłaszcza, że mało wie

EWA SULIBORSKA

MIASTO MUSI UMRZEĆ

„W nocy z 13 na 14 lutego 1945 r. nastąpił nalot dywanowy samolotów amerykańskich na Drezno”. Oto jeden z komunikatów poprzedzających ogłoszenie upadku państwa Hitlera. Jedną z radośnych wiadomości o zwycięstwach wojsk alianckich nad wojskami Wehrmachtu. Jedno z wydarzeń o których się już zapomina, które przestają cokolwiek oznaczać. Jeden z szczegółów, który stał się już tylko przy czynkiem historii wojny. Wojny zapomnianej powoli nawet przez tych, którzy ją przeżyli.

Jan Rybkowski posłużył się wypadkami nocy drezdeńskiej nie dlatego, by utrwalić na taśmie filmowej jeden ze szczegółów niedawnej historii. Zamierzeniem realizatora nie było tworzenie dokumentu. Autentyzm rozgrywających się wypadków jest tylko pretekstem. Historia wojny mówi, że w nocy nastąpił nalot. Zburzone miasto. Zginęło ponad 100 tysięcy ludzi. Znaczną ich część stanowili znajdujący się w Dreźnie jeńcy z licznych obozów i ludzie przywiezieni tu na przymusowe roboty. Było tu wielu Polaków. Takie jest tło historyczne, wykorzystane przez Rybkowskiego. Tło, na którym oparł reżyser znakomite pomysły — wprowadzenie do zagrożonego miasta Polaka Piotra, więźnia obozu koncentracyjnego. On jest świadkiem rozgrywających się wypadków, jego oczyma patrzymy na miasto.

Piotr ogląda Drezno widziane przed wojną — Drezno pomnik i symbol niemieckiej kultury i cywilizacji, którego architekturę uczono go podziwiać. Piotr uciekł z transportu więźniów, jego towarzysza Francuza rozstrzelano. W każdej chwili może go spotkać ten sam los. Wraz z Piotrem oglądamy gorączkowe życie miasta w przededniu zakończenia wojny. Restauracja, dom dziewczyny ulicznej i ciotki jednego ze współtowarzyszy ucieczki — wyznaczają punkty jego bezcelowej wędrówki. Rybkowski gromadzi drobne szczegóły życia — dziewczynę kupującą pantofle, kobiety oczekujące swoich mężów, maseczki karawalowe biegające po ulicach miasta — z nich tworzy obraz Życia. Także scena w schronie w czasie trwania nalotu — szczegóły podkreśla. Ludzie zajmują się drobiazgami. Jakś Niemiec (Stanisław Łapiński) sprawą krzesła, jeńcy wojenni — dziewczynami. Włoszka (świeżona Danuta Szaflarska) wstrząsa swego męża. Nikt nie myśli o grożącym niebezpieczeństwie, nie zdaje sobie sprawy z zagrożenia.

Drobiazgi te jednak, sprawy najmniej istotne powstają w centrum zainteresowania i urastają do miar problemów, zaczynają nabierać istotnych i najważniejszych znaczeń. Będziemy obserwować to jeszcze raz w czasie ucieczki Piotra i Magdy z płonącego miasta. Każdy z tych szczegółów wyznacza życie miasta, życie ludzkie, któremu grozi zniszczenie. Spadające na miasto bomby w przeciągu paru godzin zamieniają w płonące gruzby pomniki kultury, cywilizacji. Stawiają wszystko w stan zagrożenia, równają prawa wobec śmierci. Rybkowski każe nam oglądać pełne grozy obrazy — sceny z obozu jeńców, bezładną ucieczkę z miasta, oszalałe kobiety wychylające się z płonących ruin.

Kluczowym fragmentem filmu jest, jak się wydaje, scena w gabinecie Profesora. Ona wyznacza jego ideologiczną wartość. Profesor prezentuje w niej tę samą filozofię, którą znamy z „Niemców” Kruczkowskiego. (Leon Kruczkowski jest współautorem scenariusza i dialogów.) „Niemcy takiego jak ja gątunkowi mają dziś do spełnienia jedno wyłącznie zadanie: przechować najwyższe dobra duchowe ludzkości, ponieważ w sobie nieknięte przez lata zamefetu i walki, przez powódź bólu i krwi, barbarzyństwa i szaleństwa. I zwrócić, przekazać je naszemu narodowi w chwili, kiedy upadnie okrutne państwo Hitlera” — mówi Sonnenbruch. Tak samo mógłby powiedzieć Profesor (Zdzisław Mrożewski) bohater filmu. On także prezentuje tę „dumną samotność”, „samotność człowieka, który chce, który musi przetrwać! Ocalić w sobie wszystko to, co dziś sponiewierane, wypędzone z naszego życia”. Jemu, miłośnikowi cywiliza-

cji, kultury niemieckiej, człowiekowi o „czystych rękach” i „czystym sumieniu”, przeciwstawia autorzy filmu — Piotra. Piotra, który jak Joachim w „Niemcach” został wciągnięty w mechanizm wojny i nie może stać z boku rozgrywających się wypadków nawet we własnym — jak Profesor — mniemaniu. To on z pozycji swoich doświadczeń, z pozycji Polaka, jednego jak się mówi w filmie z „cudzoziemców”, obcego rasowo i ideologicznie, ocenia rzeczywistość niemiecką. Dla niego bomby lecące na miasto, niosące zagładę hitlerowcom i niemieckiej kulturze nie mogą być „barbarzyństwem”.

— Sonnenbruch z „Niemców” mówi: *Gdyby pan wie dział ile wysiłku, ile męki kosztowało mnie zanim zdolałem odgrodzić się od zła, od szaleństwa, które nas ocala! Sprowadzić sobie szczeni, nieprzemakalną płaszcz dla moich myśli dla moich marzeń*. Odpowiedź na to zdanie można odnaleźć także w filmie Piotr podobnie jak Joachim rozumie, że takie odgródzenie nie jest możliwe. Bo nie istnieje pozycja obserwatora. Bo zawsze trzeba wybierać. Bo wybór jest koniecznością. Swoim milczeniem Profesor współdziałał w dokonujących się zbrodniach, podobnie jak współdziałał w nich Sonnenbruch. Odpowiedzią na postawę reprezentowaną przez Profesora są też dalsze dzieje Piotra.

Z chwilą gdy na miasto zaczynają spadać bomby, los Piotra zaczyna być związany z jego losem. Przestaje być on obserwatorem, kimś „obcym”, kto ze świadomością przewagi patrzy na świętą architekturę Drezn. Wobec grożącej zagłady los jego łączy się z losem Niemki — Magdy (Beata Tyszkiewicz). Wiąże ich strach i konieczność ucieczki.

Hoppe w „Niemcach” mówi — „Teraz wojna, nie ma dobrych ludzi”. Ruth okazuje się jednak dobrą, pomaga Joachimowi. Także dobry okazuje się Piotr opiekując się Magdą. Dobra też jest prostytutka (Kalina Jedrusik), daje Piotrowi chleb. Wypowiedziane przez nią słowa „Z ludźmi trze-



Beata Tyszkiewicz w filmie „Dziś w nocy umrze miasto”

ba postępować po ludzku” mogłyby stanowić credo filmu.

„Dziś w nocy umrze miasto” jest filmem w zamierzeniach bardzo ambitnym. Za myśli jaki towarzyszył jego powstaniu, środki artystycznego wyrazu, jakie w nim wykorzystano — pretendują film do arcydzieła. Niestety, film arcydziełem nie jest.

„Dziś w nocy umrze miasto” mogło być dramatem postaw. Piotr i Profesor, patrząc na rozgrywane się wypadki z dwu różnych pozycji, mogliby być tego dramatu bohaterami. Temu celowi służyłoby zderzenie w Piotrze przeszłości z teraźniejszością, temu też służyłaby konfrontacja w gabinecie Profesora, pośród skorup zbitej porcelany — symbolów kultury. Być może zresztą autorzy filmu pokazując zniszczenie miasta, śmierć tysięcy ludzi, śmierć, w obli-

zu której wszystkie wybory i konflikty tracą swą wartość, która wszystko przetrasta i wszystkiego dosięga równając zwycięzców i zwyciężonych — chcieli pokazać jak małe znaczenie ma wynik owego dramatu postaw wobec wojny totalnej. „Dziś w nocy umrze miasto” byłoby wtedy nie tylko powtórzeniem, ale i dopełnieniem „Niemców”.

Szkoda jednak, że Rybkowski i Kruczkowski nie doprowadzili do końca owego dramatu postaw i prezentują dramat w filmie tylko do pewnego momentu. Nadmierna umowność i stylizacja scen rozgrywających się w czasie bombardowania, stylizacja dodajmy nie zawsze potrzebna (choćby scena z oszalałymi kobietami) zmienia zasadniczo charakter filmu. Gigantyczna zagłada miasta demonstrowana przez twórców każe widzieć w nim metaforę. Przy-

wodzi na myśl grożące światu atomowe niebezpieczeństwo, każe dopatrywać się ostrzeżenia przed nim.

Rola Piotra, która powierzono Andrzejowi Łapickiemu, wydaje się być jedną z zasadniczych pomyłek popełnionych w filmie. Ten świetny, przecież aktor teatralny jest wyjątkowo niefilmowy. Brak mu na ekranie twarzy. Nie tworzy postaci filmu „Dziś w nocy umrze miasto” jest bowiem dramatem właściwie bez bohatera. W roli Profesora interesująca kreację stworzył Zdzisław Mrożewski. Także Beata Tyszkiewicz zasługuje w roli Magdy na szczególną uwagę Bogusław Lam bach operator filmu — otrzymał na festiwalu w Moskwie specjalne wyróżnienie.

P.S. Część zdjęć nakręcono w Dreźnie. Film ma dwie wersje — polską i niemiecką.

ALEKSANDER NIEŚMIAŁEK

„CHAMPION”

Czy boks jest sportem, czy też raczej ohydny mordobiciem niebezpiecznym dla życia? Na te i inne podobne pytania od roku odpowiadają w ramach dyskusji prowadzonej na łamach „Życia Warszawy” — lekarze, publicyści, działacze.

Lekarze wykazują, że ciosy w głowę lub pierś porażają trwale urazy w mózgu lub systemie nerwowym boksera. O szkodliwości boks z punktu widzenia społeczno-wychowawczego piszą działacze społeczni, nauczyciele podkreślając przypadki szeregów się wśród bokserów przestępczości (najnowszy przykład — powtórne i chyba tym razem skuteczne aresztowanie Kasprzyka). Są również „obrońcy” którzy wypatrują w boksie szkołę męstwa, odwagi, a nawet rozwoju fizycznego.

Z tą ostatnią „tezą” skutecznie polemizuje reż. Mark Robson w „Championie”. Boks tam ukazany jest odrastającym, mordującym masakrowaniem przeciwnika. Sporo dostaje się w tym filmie tzw. bokserowi zawodowemu. Historia młodego Amerykanina, bezkompromisowego w zdobywaniu pieniędzy jest stożkowo odważnym ciosem w gangsterski świat boksu zawodowego USA.

Reżyser nie oszczędził widzom naturalistycznych momentów, może nawet zbyt makabrycznych. Szkoda tylko, że większa część naszej publiczności oglądając je ujawnia przy tym typowo zwierzęce odruchy w postaci miaskania oraz gardłowych okrzyków zachwytu i uniesienia. Zapewne nie o taką percepcję filmu chodziło reżyserowi i Kirkowi Douglasowi — świetnie ucharakteryzowanemu i nieśle grającemu główną rolę. Błyskawiczne tempo filmu, poprawna reżeria i ukazane makabryczne efekty winny zmuszać do zastanowienia. Reakcja publiczności także.

EWA OSTROWSKA

„Szlachectwo zobowiązuje”

Anglików można scharakteryzować według kanonu: nikt poza nimi nie potrafi traktować bardziej serio swoich cnót narodowych i jednocześnie nikt poza nimi nie potrafi bardziej serio z nich kpić. Etymologia przysłowiowego humoru angielskiego jest na pewno starsza od Dickensowskiego pana Dicka, a jej tradycja kontynuowana aktualnie przez angielską komedię Roberta Hamera „Szlachectwo zobowiązuje”.

„Szlachectwo zobowiązuje” konsekwentnie nawiązuje do tej tradycji, pozornie nie wnosząc żadnych elementów nowości — wyposażona jest bowiem w znane dobrze z podobnych komedii rekwizyty martwe i ożywione: ponure więzienie, jowialny, niemalże historyczny kat, utytułowany szlachelec, lordowskie zameczko w pańskim i od wewnątrz, sherry, whisky, oraz w rów nie znany z powyższych dylemat: „Jak zabić”, wokół którego koncentruje się akcja. Jednakże Hamer technicznie owego „jak”, wzbogaca specyficzną etykietką moralną. Przecież szlachectwo zobowiązuje?...

Młody bohater komedii, szlachetnie urodzony lecz nikczemnie odsunięty przez swoich powinowatych od u-

roku arystokratycznego życia, po dłużących się latach oczekiwania znajduje wreszcie techniczne i moralne rozwiązanie dylematu „Jak?”. I w imię zaprzysiężonej nad prochami matki zemsty, tudzież gwałtowności, rozpoczyna serię systematycznych mordów — przepraszam, śmiertelnych wypadków — szlachectwo zobowiązuje! — tak prosiłukich, tak leciutkich, że zda się — wykonywanych od niechcenia, mimochodem. Tam łódzeczkę z wysoko urodzonym kuzynkiem zepchnie do słuzki, tu zamieni w lampę naftną na benzynę i następną kuzynkę gotową, strzelając z łuku do powłoki balonu — i kuzynka sufrażystka załatwiona: wytwornie, spokojnie, flegmatycznie wykańcza lordowskie mości i ich wysokości, zadowolając na drodze do tytułu i dóbr rodzinnych. W sumie 9 gwałtownych pogrzebów, i spełnienie ślubów z dodatkiem w postaci żony po kuzynie. Aż do tej, prawie końcowej sceny dowcip sytuacji i dialogowy Hamer zaprawia zimnym dreszczem, od inteligencji widza wymagając rozgraniczenia

makabrycznej groteski od groteskowej satyry.

Wykorzystując zaś prawo komedii do kpiny również i z publiczności Hamer trochę się nagrywa, w ostatnich sekwencjach dwukrotnie kończy swój film, aby w rezultacie zaskoczyć widza nieoczekiwaną pointą. „Szlachectwo zobowiązuje” posiada wszelkie cechy dobrej komedii: zwarte tempo, ciągłość akcji, znakomitą obsadę aktorską — Alec Guinness w rolach mordowanych wysokości, w roli szlachetnie wykonującego moralny nakaz — doskonały Dennis Price.



DZIECI HISZPANII

Turystę przyjeżdżającego do Hiszpanii uderza ogromna ilość dzieci: w ubogich dzielnicach miast, na wiejskich placach jest ich pełno. Wra-

żenie to należy jednak uzupełnić kilkoma obserwacjami. Ludność Hiszpanii przekracza nieznacznie liczbę trzydziestu milionów; średnia gę-

stość zaludnienia — 60 mieszkańców na kilometr kwadratowy. (Francja: 80, Włochy: 155, Holandia: 338). Jak widać liczby te nie są ogromne. Trzeba jednak dodać, iż zaludnienie jest bardzo nierównomierne. Ogromne obszary Hiszpanii środkowej są niemal bezludne — gęstość zaludnienia nie osiąga tam liczby 35 mieszkańców na km. kw. Statystyki tych okolic od początku naszego stulecia wskazują na coraz bardziej malejący przyrost naturalny. Tak więc, jeśli spotyka się dzielnice zarośnięte dzikimi, to w miastach na peryferiach Hiszpanii — są osady i wsie pogrążone w ciszy... Rzecz jasna, ten malowniczy, wiekowy spokój nie jest objawem rozkwitu kraju.

MILION DZIECI NA ULICACH

W Trianie, w Sewilli, w dzielnicy Siedmiu Ulic w Bilbao i na przedmieściach Madrytu długo przemierzalem ulice i uliczki pełne dzieci grających w chowanego, w gonitwę, w walkę byków. Widziałem je na jezdni, na wąskich chodnikach, pod murami pokrytymi pleśnią, w bramach domów odsłaniających ciemne korytarze... Przy czynie tego nagromadzenia dzieci jest bardzo prosta: domy są zatłoczone; mieszkanka zbyt małe. Sześć, osiem osób w jednym pokoju... Jakże dziecko może zostać „w domu”? Dom jest pośpiech, niegościnnie. Dziecko wybiega na ulicę, przylga się do swych towarzyszy.

Zapytacie: dlaczego nie idzie do szkoły? To wydaje się proste. Brak szkół, nie ma wystarczającej liczby nauczycieli. W Hiszpanii brakuje około 58.000 nauczycieli. 800.000 dzieci w wieku od 6 do 12 lat nie chodzi do szkoły. W wieku od 12 do 14 lat jest ich około miliona — dla nich szkoły nie istnieją. W Europie mamy dwa kraje, w których nauka nie jest obowiązkowa do 14 lat: Hiszpania i republika San Marino! Nawet Portugalia rozszerzyła obowiązek nauki (teoretycznie) do 13 lat.

Co robią dzieci, jeśli nie idą do szkoły?

Wychodzą na ulicę bawić się lub pracować. Sprzedają gazety, sprzedają sznurowadła, zabawkę za trzy grosze, magdaly, bilety do metra (by wam oszczędzić stania w kolejkach), czyścza buty.

Pamiętam, pewnego dnia, w Walencji, usiadłem na ławeczce „limpia botas” by wyczyścić moje zakurzone buty. „Limpia botas” siedzieli nieopodal na swych skrzynkach z przyborami. Wybrałem chłopca w wieku piętnastu lat — sąsiada, śmiałego dziesięcio- czy jedenastoletniego ubranego w podartą koszulę i bluejeansy. Podmógł się gwałtownie i zaczął wymachiwać swą szczotką obrzucając starszego wywiskami, krzy-

ząc, że zauważył mnie pierwszy, że dał mi znak szczotką i zatem ma pierwszeństwo do mojej osoby. Drugi wzruszył ramionami i mruknął do mnie jak by chciał powiedzieć: „He, senor, bezczelne są te smar-kacze! Do czego oni się mieszają?”

Chłopiec, nadąsany, usiadł na powrót na swej skrzynce. Wybaczenie, ale muszę przyznać, że nagle ścisnęło mi się serce. A to przecież niby nie wielka rzecz, zwykła scena w tym zakątku placu szumiącego rozmowami i klótniami. Lecz ja nie mogłem się powstrzymać od refleksji pomyśleć sami — co oznaczają dla dziecka te dwie czy trzy pesetas; oznaczają — chleb, to nadąsane dziecko zarabia na życie.

Starszemu widocznie zrobiło się żal malca. Pogrzebał w kieszeniach swej marynarki, wyjął papierosa i rzucił go dziecku. Ten pochwylił go w locie, bez uśmiechu, bez podziękowania, zapalił, czując dalej na klientów.

Inna scena: w Grenadzie, wracając pieszo z wybieczki do Alhambry zatrzymałem się na jednym ze skrzyżowań ulic, szukając przystanku autobusowego.

Stara Cyganka w kwiatostaj sukni sprzedawała nieopodal kolorowe chustki i kastaniety, dzwoniła nimi hałaśliwie w ciszy poranka. Turystów nie było widać. Zbliżyła się do mnie zachwalając swój towar, potem chciała mi powrócić. Odrzuciłem grzecznie propozycję i Cyganka oddaliła się z żalem.

Autobus nie nadchodził. Nie byłem pewien czy zatrzymałem się na właściwym przystanku. W pewnej chwili, trzy mając ręce w kieszeniach, zbliżył się do mnie dwumastoltni chłopiec — ciemna cera, głowa ogolona, płócienna spodnie i koszula czysta aczkolwiek mocno zniszczona. Podał mi rękę z godnością — „buenas dias”. Odpowiedziałem na pozdrowienie i zapytałem o przystanek autobusowy. Poinformował mnie z tą samą pełną kurtuazji uprzejmością.

Mój autobus wciąż nie nadchodził. Korzystając z okazji zadałem memu towarzyszowi: kilka pytań dotyczących jego życia rodzinnego i szkolnego. Odpowiedział mi, że zdążył mu się iść do szkoły, ale częściej jeszcze sprzedawał gazety. Jego ojciec jest murarzem, matka pracuje jako sprzątaczką. Co do mieszkania, to nie jest to „cueva” — grota wygrzebaną w ziemi, ani barak, to jest pokój w prawdziwym domu, na trzecim piętrze!

Po pewnej chwili — mój autobus wciąż nie nadchodził, nieopodal stara Cyganka dzwoniła kastanietami przyglądając się nieufnie mojemu rozmówcy — chłopiec kaszlnął i zwrócił się do mnie:

— Hmm, zdobyłbym miał jedną pesetę...

— No to co? Co byś zrobił gdybyś miał pesetę?

— Pojechałbym odwiedzić mego wujka. Wsiadłbym do autobusu, pojechałbym na omen tarz, on tam leży. Hmm, tylko musiałbym mieć pesetę na autobus...

— Peseta w tę stronę i drugą na powrót?

— Si, senor. To było powiedziane tak naturalnie, że nie pozostawało mi nic innego — a jak dać petakowi dwa pesetas. Zdaje się, że dałem mu nawet „duro” — monetę o wartości pięciu pesetas. Czy zapłacił mi autobus na omentarz, czy kupił „churros” — nadziewane na gałkę wilkiny? Nie starałem się dociec tego. Schowawszy monetę chłopiec oddalił się, uprzednio podziękowawszy i pożegnawszy mnie z godnością.

W końcu, kimże byłem dla niego? Jednym z wielu turystów, którzy mają czas i pieniądze by się przechadzać i zwiedzać zabytki. Faktycznie, wracalem z Alhambry Generalife. Pytałem chłopca, czy wiedział już te palace Grenady, które cały świat zna i podziwiał. Nie, nigdy ich nie zwiedzał. Jego matka też nie. Zdaje mu się, że ojciec był tam raz, kiedyś...

Odjechałem w nastroju raczej melancholijnym, myśląc o chłopcu z Grenady, który nie miał okazji poznać skarbowej ojczyzny, który zbyt wcześnie poznał głód, podczas gdy za starymi murami można podziwiać wspaniałe mozaiki, rzeźbione kopuły, baseny z marmurów.

WIDZIAŁEM ŻEBRZĄCE DZIECI

Tak, widziałem w Hiszpanii żebrzące dzieci. I nie tylko o-bdarłe dzieci dzielnic cygańskich przywykłe do życia z jał mużny.

Na przystanku tramwajowym, na zakręcie ulicy dwoje oczu, które was obserwują, oceniają szybko wasze możliwości finansowe:

— Senior, senior, jedna peseta. Jedna malutka peseta, por favor... jedna peseta...

Widzieć żebrzące dzieci to nie jest miłe. I niech nikt mi nie powie, że jest to częścią malowniczego krajobrazu Hiszpanii. Czy ten, kto widział malych żebraków może podziwiać urok starych murów, wijących się uliczek i wciąż jeszcze feudalnych wsi?...

Dzieci żebrzą, bo są głodne. Ich matka lub ojciec zarabia osiemset lub tysiąc pesetas miesięcznie (lub nawet jeszcze mniej) tzn. około dziesięć tysięcy franków (ok. 350 zł — przyp. tłum.), a chleb w Hiszpanii kosztuje tyle samo co we Francji. Dla cudzoziemca życie w Hiszpanii wydaje się stosunkowo tanie — jednakże w porównaniu z niedziwnymi zarobkami okazuje się niezmiernie drogie.

Nauczyciel pod koniec swej kariery zarabia dwa tysiące pesetas. Inspektor policji, w momencie wstąpienia na służbę dostaje cztery tysiące. To zresztą tłumaczy wiele — dla czego dzieci żebrzą, dlaczego uczniowie sprzedają gazety i bilety na loterie.

Na przedmieściach miast, zdaleka od bogatych dzielnic znajdują się skupiska beznadziejnych nór — „chabolos”. Klitki z desek, z kamieni, przydominające królicze klatki, gdzie człowiek nie może się stojąc. Setki tysięcy ludzi żyje w tych dzielnicach, tysiące dzieci. Latwo sobie wyobrazić jakie spustoszenie sieje głód i przeróżne epidemie w tych mrocznych lepiankach.

Ktoś mi opowiadał, iż sprzedaje się w tych dzielnicach artykuły spożywcze „drugiego gatunku”, a nawet konserwy mniej lub więcej zepsute. Nędzarze wolą dezynteryę lub zatrucie niż głód.

Nie zmyślam. Widziałem „chabolos” w Sewilli, w Grenadzie, w Madrycie... Ohydne ścieki płyną ulicami zajmując niekiedy całą przestrzeń między lepiankami. Woda jest droga w tych dzielnicach, lecz przecież trzeba gotować, trzeba prać... Te kaluże i śmierdzące ścieki — pomyśleć zmieszane z uryną i odchodami opasują chabolos. Widziałem dzieci bawiące się na brzegach tych kaluży...

DNO NEDZDY

A przecież to nie są dzieci włośczańskie, lecz dzieci murarzy, cieśli, pracowników rolnych, dzieci robotników.

Pewnego wieczoru, zagubiony w płataniu ulic jednej z tych dzielnic w Sewilli widziałem na progu „chabolos” matkę myjąca głowę swej córce. Był to obraz przemulający przez kontrast taki stanowiący z otaczającą niedzą. Dziecko skuliło się na progu, matka mydliła włosy swej małej. Klitka nie była wyższa niż półtora metra. Wokół białe płachty schnące białej. Ta kobieta walczyła przeciwko brudowi i wszawicy. Mieszkając w nędznej lepiance chciała mieć czyste dziecko i świeższe bieliznę.

To był wstrząsający obraz, a przecież dający cię nadzieję. Ten naród żył w nędzy nie podaje się. Mimo reżimu po-litycznego, mimo hamulców wszelkiej postaci działalności kościoła, mimo straszliwych wspomnień wojny domowej, naród hiszpański potrafi odrzucić swych przywódców od wrogów.

Wiele jest czynników, mniej lub bardziej istotnych, dzięki którym reżim frankistowski utrzymuje się przy władzy: nie sądzę jednak, by można było mówić o reżymach narodu, o poddaniu się nędzy i istniejącemu stanowi rzeczy.

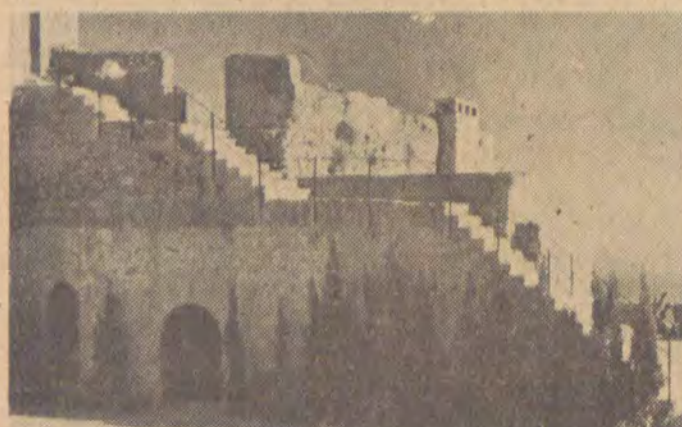
ONI SIĘ NIE PODDAJĄ

Wystarczy porozmawiać z pierwszym napotkanym przechodniem, z nieznalonym towarzyszem podróży w pociągu aby zrozumieć iż ten naród nie poddaje się, że jego młodzież i dzieci nie poddają się nigdy.

Nierzadkie są wystąpienia młodzieży studenckiej — prasa donosiła o tym niejednokrotnie. W walce o ludzkie warunki życia, w walce o chleb i szkoły, taka toczą chłopcy andaluzyjscy, młodzi nie są w ostatnich szeregach bojowników. Można bez ironii i gorczy mówić o hiszpańskiej młodzieży, o młodzieży pieszczelonej i zagłodzonej lecz zbuntowanej.

Plomienowy bunt przeciwko ciemnościom manifestuje się tak w ruchach społecznych jak i w młodej literaturze hiszpańskiej, gdzie istnieje już plejada poetów i pisarzy liczących mniej niż trzydzieści lat.

Mimo wiezień i wyroków ciemne oczy dzieci Hiszpanii nie patrzą ku śmierci i zagładzie. Wiedzą, iż nadejdzie koniec tego pseudo-romantyzmu, ponurej rzeczywistości głodu i nędzy. Hiszpania odzyska swą dumę i wielkość.



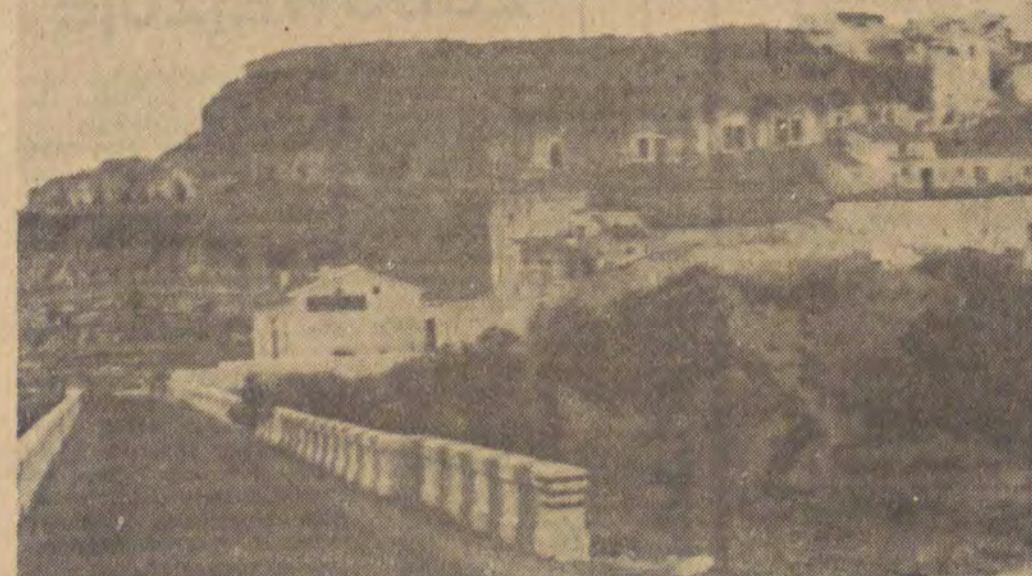
...za starymi murami, mozaiki, rzeźbione kopuły, baseny z marmurów opowiadają turystom bajkowe życie dawnych królów...



...uliczki pełne dzieci grających w chowanego, w gonitwę, w walkę byków...



...urok starych murów, wijących się uliczek...



...Na przedmieściach miast, zdaleka od bogatych dzielnic, znajdują się skupiska beznadziejnych nór — „chabolos”...

KŁESKA

Ponad górami pokazały się ciemne sylwetki dwusilnikowych samolotów, lecących na bardzo niskim pułapie w kierunku lotniska. Ciężki, basowy, pomruk ich silników — nieco przerywany i falujący — wypełnił przestrzeń. Samoloty błyskawicznie zbliżały się ku lotnisku. Zdawało się, że puchną i rosną — stawały się coraz większe, potężniejsze...

Budził się ranek cichy i pogodny. Niebo w wysokich regionach zasnuwane było lekkimi — zdawało się, przejrzystymi — cirrusami. Betonowa nawierzchnia krosnińskiego lotniska przypominała czarną, błyszczącą taflę wielkiego jeziora.

Pierwszy września trzydziestego dziewiątego roku zapowiadał się pogodnie.

Tymczasem samoloty znalazły się już nad lotniskiem. Ryk ich silników spotęgował się i wstrząsał powietrzem. Leciały na wysokości niewiele przekraczającej sto metrów.

— Niemcy! — krzyknęli nieomal jednocześnie żołnierze, dostrzegając czarne krzyże w białych obwódkach, wymalowane na skrzydłach i na kadłubach smukłych Dornierów Do-17. — Uciekać! Wojna!

Powietrze zawirowało wokół; ziemia jakby się sfałowała i ogłuszający grzmot detonujących bomb wstrząsał przestrzenią. Ziemia drżała jak galareta. Detonacje następowały jedna po drugiej. W niebo strzelały czarne słupy kłębiastego dymu. Na wpół rozwalone hangary płonęły. Ciężkie, ołowiane chmury czarnego dymu wily się wokół lotniska.

Ziemia kosiła się, sypały się mury, a ponad wszystkim unosił się ogień, dym i gryzący pył z gruzów, dławiący oddech. Niemcy bezkarnie krążyli tuż przy ziemi. Lotnisko Krosno zostało zaskoczony zniemka. O ratowaniu płonących zabudowań i hangarów nie było mowy. Akcja ratunkowa została zupełnie sparaliżowana. Zresztą w tej chwili nikt o tym nie myślał. Każdy ratował własne życie.

Dopiero w krótkiej przer-

wie między nalotami zorganizowano obronę lotniska K-23 — taki był bowiem wojenny kryptonim Krosna. Na dachach nie zniszczonych bombami budynków koszarowych ustawiono osiem starych, wysłużonych „Hotchkessów” — ciężkich karabinów maszynowych, na których uczono się nauki o broni. Nie wiadomo skąd znalazło się jedno działko dwudziestomilimetrowe z ręczną syreną alarmową. Piloci pobiegli do jednego ocalałego hangaru i spieszenie wyciągnęli sześć samolotów myśliwskich P-11 i trzy P-7, popularnie zwanych „płaznikami”. Nie zapomniano też o trzech samochodach ciężarowych. Sprzęt wywleczono za lotnisko i starannie zamaskowano. „Losie”, „Karasia” i inne samoloty spłonęły doszczętnie w zbombardowanych hangarach.

Ledwie zdążono poczynić te wszystkie przygotowania, a już znad gór nadlatywała nowa fala bombowców „Luftwaffe”, ponownie atakując lotnisko. Sypały się lawiną bomby, z ogłuszającym hukem detonując w zabudowaniach warsztatowych. Wzniesły się pożary. Płonął ostatni hangar. Lecz tym razem odezwały się z dachów koszar stare, wierne „Hotchkessy”.

Pierwsze dwa niemieckie bombowce oderwały się od szyku, i dymiąc spadały niczym kamienie ku ziemi. Ciągnęły za sobą czarne wstęgi, wśród których larzyły się iskrami płomienie. Po kilkunastu sekundach widać było daleko, za miastem, krótki jasny błysk, któremu towarzyszyła eksplozja. A potem snuł się prostopadłe ku niebu cienki dymek. Tak konały pierwsze dwa samoloty hitlerowskie, stracone przez obrońców K-23...

Naloty trwały prawie przez cały dzień. Śwad spalenizny unosił się w powietrzu wraz z dymem dołajających się hangarów i dwóch budynków koszarowych. Ktośby przypuszczał, że to piękne, no wczesne lotnisko tak nędźno zamieni się w gruz. Ze staniem się bezużyteczne niecałkiem w pierwszym dniu wojny? Wszystkie pozostałe myśliw-

ce przerzucamy do Moderówki — rozkazywał major Drozdowski. — Tam zorganizujemy obronę K-23! Mechanicy dowiozą samochodami paliwo, zapasowe silniki, broń pokładową i amunicję z ocalałych magazynów. Jutro wczesnym rankiem, rozpoczynamy akcję.

Drugi dzień wojny... Ruiny lotniska krosnińskiego nie przestawały jeszcze dymić po wczorajszych nalotach „Luftwaffe”. Na lotnisku połowym w Moderówce przygotowywano się do walki.

Moderówka, położona kilkanaście kilometrów od Krosna, była znakomitą bazą wypadową dla nękanego bez przerwy lotniska K-23.

Na rozległej polanie przy skraju lasu ustawiono namioty mieszkalne i hangarowe oraz warsztatowy, przy których kręcili się ludzie w granatowo-czarnych beretach i stalowych mundurach lotniczych. Przy samolotach krzątali się mechanicy, przeprowadzali przegląd silników,



Żołnierze niemieccy przy myśliwcu polskim straconym w czasie walk wrześniowych.

dziestego roku życia. Po raz pierwszy mieli się zmierzyć z hitlerowską „Luftwaffe” „oko w oko”.

Powietrze przeciął potężny ryk silnika myśliwca, po nim zaraz zawył drugi i trzeci. A potem zagrały basową tonacją następne. Trawa kładła się pokotem na murawie lotniska. Mechanicy wysuwali śpiesznie podkładki spod kół i maszyna, rozpędzona na krótkiej przestrzeni startowej, odrywała się od ziemi, wystrzelając klasyczną, prawie prostopadłą „świecę” w niebo. Samoloty na dużej wysokości zbierały się w kłęby i odlatywały w stronę gór.

Skrzypczak pospiesznie nałożył haubę na głowę, opuścił na oczy okulary, a potem zapiął i sprawdził pasy bezpieczeństwa. Po chwili zaskoczył silnik. Mechanik wyjął podstawki spod kół, a pi-

mal prostopadłe ku niebu...

Biała, fosforyzowana wskazówka wysokościomierza pęła się po obwodzie czarnej tarczy, przeskakując od cyfry do cyfry.

Samolot wznosił się wyżej i wyżej. Andrzej obserwował wskaźniki tablicy rozdzielczej. Raz po raz ogłądał się na boki albo patrzył w górę, penetrując wzrokiem niebo.

Wyównał lot, wyregulował dzwignię gazu obroty i po ponownym sprawdzeniu kursu na busoli, jeszcze raz rzucił oczyma na wysokośco-

nierz i szybkościomierz.

Wypatrywał nieprzyjaciela.

Strzałka wysokościomierza

derżającego o kadłub i zastrza-

ły skrzydłowe.

Nagle spostrzegł, że około

tysiąca metrów pod nim, le-

cia w przeciwnym kierunku

samoloty dwusilnikowe. Naj-

pierw były tylko punkcikami,

ale w miarę zbliżania się ro-

sły, przeobrażając się w krzy-

żyki, aby z kolei stać minia-

turowymi samolocikami bom-

bowymi Junkers Ju-86 K.

Był to już ósmy jego start

tego dnia. Inni zginęli lub

przywozili na swych skrzy-

dłach zwycięstwo, a on,

Skrzypczak, latał prawie cały

dzień bez rezultatu. Właśnie

nadlatywał nad pole bitwy i

upatrywał Junkersa dla śle-

bie, gdy maszyna jego wstrzą-

snął dreszcz tak potężny, że

wypuścił z rąk drążek stero-

wy i maszyna zwałiła się w

korkociąg. Z wysiłkiem wy-

ównał maszynę. Zlustrował

pobieżnie metalową powłoczkę

nie. Na skrzydłach zauważył

ostre zadziory w metalu. Do-

słęga go pierwsza seria po-

cisków. Nieco wyżej trwała

zazarta walka myśliwców

polских z niedobitkami po-

wietrznej floty niemieckiej. W

dół spadał hitlerowski bom-

bowiec. Inny, ciągnąc za so-

bą długi warkocz dymu, le-

ciał tuż przy ziemi, usiłując

wylądować.

W trakcie „windowania” się

na wysokość. Skrzypczak, do-

strzegł nad sobą przecinają-

cego jego kurs Junkersa. Po-

czekał aż najdzie na celow-

nik. Odruchowo docisnął spust

broni pokładowej. Ale Niem-

iec gnał dalej, bez obja-

wów trafienia.

Położył samolot w głęboki skręt i odlatywał nad K-23. Silnik pracował bez zarzutu. Skrzypczak skontrolował wskaźniki na tablicy pokładowej. Na horyzoncie ukazało się kilka sylwetek bombowców „Luftwaffe”. Niby lusterka, błyszczały w słońcu szkło kabin. Bombowce szły pewnie, majestatycznie. Nie spodziewały się widocznie żadnej przeszkody. Andrzej momentalnie otrzeźwiał. Włączył pełne obroty i wyszedł na wysoki pułap. Runął w dół, na lecących defiladowo Niemców. Upatrzył sobie lewo-

skrzydłowego Dorniera. Jesz-

cze trzysta metrów... Jesz-

cze dwieście... Już... Naciśnął

soust kaemów i teraz wszy-

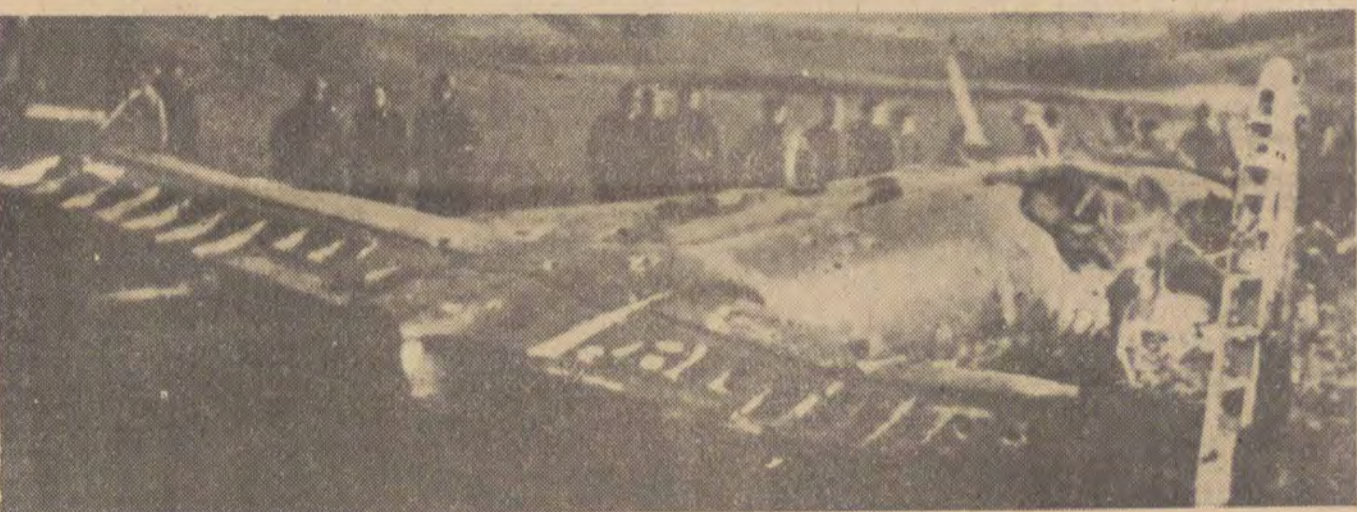
stkimi czterema prażył po sa-

molocie n'przyjaciela. Z

silnika niemieckiego Dor-

neira wystrzelił płomyk, objął

całe skrzydło bombowca.



Bombowiec Dornier Do-17 nie dotarł do celu — spotkał na swej drodze polskich myśliwców...

lot skiniem wysoko podniesionej ręki pożegnał stojących na lotnisku kolegów. Włączył pełne obroty i maszyną potoczyła się, trzęsąc się, jak po „kociach łbach”, po nierównej powierzchni lotniska. Nabierała rozpędu, aż w pewnej chwili Andrzej ściągnął mocniej drążek sterowy na siebie i wyrwał nie-

się ze świstem powietrza uderzającego o kadłub i zastrzały skrzydłowe.

Nagle spostrzegł, że około tysiąca metrów pod nim, lecia w przeciwnym kierunku samoloty dwusilnikowe. Najpierw były tylko punkcikami, ale w miarę zbliżania się rosły, przeobrażając się w krzyżyki, aby z kolei stać miniaturowymi samolocikami bombowymi Junkers Ju-86 K.

Był to już ósmy jego start tego dnia. Inni zginęli lub przywozili na swych skrzydłach zwycięstwo, a on, Skrzypczak, latał prawie cały dzień bez rezultatu. Właśnie nadlatywał nad pole bitwy i upatrywał Junkersa dla ślebie, gdy maszyna jego wstrząsnął dreszcz tak potężny, że wypuścił z rąk drążek sterowy i maszyna zwałiła się w korkociąg. Z wysiłkiem wyównał maszynę. Zlustrował pobieżnie metalową powłoczkę nie. Na skrzydłach zauważył ostre zadziory w metalu. Dosłęga go pierwsza seria pocisków. Nieco wyżej trwała zazarta walka myśliwców polskich z niedobitkami powietrznej floty niemieckiej. W dół spadał hitlerowski bombowiec. Inny, ciągnąc za sobą długi warkocz dymu, leciał tuż przy ziemi, usiłując wylądować.

W trakcie „windowania” się na wysokość. Skrzypczak, dostrzegł nad sobą przecinającego jego kurs Junkersa. Poczekał aż najdzie na celownik. Odruchowo docisnął spust broni pokładowej. Ale Niemiec gnał dalej, bez objawów trafienia.

Skrzypczak, zadowolony z pierwszego swojego zwycięstwa, wracał na lotnisko.

Ale nagle samolot zakłócił się i zdawało mu się, iż zatrzymał się w miejscu. Silny wstrząs szarpnął maszynę. Skrzypczak poczuł, jak coś uderzyło go w pierś. Dziwne ciepło rozchodziło się po całym ciele. Odczuł tępy ból w obu kolanach.

Ostatnim wysiłkiem woli próbował wyrównać maszynę w locie. Wychylił głowę z kabiny. Ostro, przejmujący pęd powietrza orzeźwił go. W ustach poczuł słodkawy smak krwi. Całym wysiłkiem woli zmusił się do opanowania steru i skierował maszynę do Moderówki. Znowu stracił przytomność.

Samolot zniżał się ku ziemi, kołysząc się na wszystkich stronach. Andrzej znowu oprzytomniał. Jak we mgle widział gwałtownie opadającą wskazówkę wysokościomierza: 260... 220... 180... 120... Ostatkiem sił usiłował prowadzić maszynę lotem koszącym po kursie do macierzystej bazy. Zamiast na środek lotniska, wylądował przy samych drzewach, na skraju lasu. Maszyna jeszcze raz wyskoczyła w górę i wyrzuciła o ziemię, wpadając lewym skrzydłem na drzewa.

W trakcie „windowania” się na wysokość. Skrzypczak, dostrzegł nad sobą przecinającego jego kurs Junkersa. Poczekał aż najdzie na celownik. Odruchowo docisnął spust broni pokładowej. Ale Niemiec gnał dalej, bez objawów trafienia.



Jeden z wielu bombowców „Luftwaffe” — Heinkel He-111 zestrzelony przez myśliwców „Brigady pościgowej”

Dalszy ciąg ze str. 1

Reportaż
wyróżniony
przez
redakcję
w konkursie
"Opisanie
Łodzi"



Julian Brysz

Urodził się 5 lipca 1934 roku w Warszawie, w rodzinie inteligencji pracującej. Ukończył studia na Wydziale Filologicznym Uniwersytetu Łódzkiego (1955). Współzałożyciel Studenckiego Teatru Satyry „Pstrąg”.

W dziennikarstwie pracuje od roku 1953, początkowo redagując tygodniowy dodatek do „Dziennika Łódzkiego” — „Życie akademickie”, następnie na stałe do dziś w „Dzienniku Łódzkim”.

DLACZEGO JESTEM REPORTEREM?

Zadaje się pytanie pretensjonalne, a oczekuje bezpretensjonalnej odpowiedzi. Zadanie, zaiste, godne pióra tęższego niż reporterskie. Ale postaram się odpowiedzieć. Nie mówmy o powołaniu, raczej o skłonnościach. Skłonnościach do studiowania „na gorąco” psychiki ebiorowości ludzkiej i zmian w tej psychice zachodzących. Po drugie — „obciążenie dziedzinne”, w którego wpływ sam zresztą nie bardzo wierzę. Po trzecie — mała dysgresja: Z okazji przypadkowego spotkania, pierwszego od lat dwunastu, z kolegą Łabędzikiem z „Wieczoru Wybrzeża” wspominaliśmy ostatnio, ilu to dziennikarzy wychowała pewna nieznaną nikomu nauczycielka polskiego z gimnazjum im. Rejtana w Skolimowie, wśród kilku nas bezimiennych i takie „tuzy”, jak Dziewanowski czy Mularczyk.

KLAMRA Z IMIENIEM „LANGE”

Tereny Radogoszczy w dziejach mniej więcej „rozmiarach” wykupił po parcelacji trzech kolonistów niemieckich — Bayer, Dittbrener i Lange. Starzy mieszkańcy dzielnic do dziś nie nazywają ulicy Bema inaczej niż Langówek.

W ten sposób zaczęło się rozwijać jedno z najstarszych przedmieść Łodzi, nie takie jak inne, nietypowe, z szansą na rozwój przemysłu. Koloniści nie zamierzali się żyć i sadzić ziemniaków. Oceniając korzystne położenie dzielnicy przy trakcie handlowym do Zgierza, trafnie doszli do wniosku, że przemysłowcy za drobne działki, na które zaczęli szatować terytorium, zapłacą im więcej, niż mogła urodzić ziemia.

W 20 lat po parcelacji majątku „Słownik geograficzny” notuje w Radogoszczy fabrykę mydła z roczną produkcją na 45 tysięcy rubli i cegielnię z produkcją na 20 tysięcy.

Dalej nie ma już źródeł pisanych, zaczyna się współczesność. Ze wspomnień najstarszych mieszkańców można odtworzyć dzieje szybkiego rozwoju przemysłu w Radogoszczy. W roku 1914 pracowało tu już 10 zakładów — 5 cegielni, 3 fabryki włókiennicze, wytwórnia papy i wytwórnia siatek drucianych.

Przemysł koncentrował się tu z uwagi na łatwiejszy kontakt z Łodzią — chodzilo o dowóz surowca i ludzi do pracy. Dopiero później wyrosły domy rodzinne Dykmanów i Kranichów, po jawili się na Zgierskiej niedługo od przemysłu czynniki szówki (one też nigdy nie wyszły poza najbliższą Łódź odcinek Zgierskiej).

3 stycznia 1901 roku traktem zgierskim pobięły tramwaje. Sieć elektryczna wiodła je do Helenówki, stąd zaś dalej — specjalne, miniaturowe parowoziki.

Zajeżdżnia w Helenówku — posiadłość jednego z głównych udziałowców łódzkiej tramwajów, Gerlicza, „którego miał żonę Helenę”, że posłużył się adekwatnymi słowami knajackiej piosenki — stała się centrum drugiego skupiska ludzkiego, tym razem na krańcach Radogoszczy.

Oba skupiska izolował od siebie centralny obszar pól i zagajników, izolowała też profesja — tu robotnicy fabryczni, tam tramwajarze.

Choć to niewiarygodne, fakty świadczą, że izolacja pozostała aktualna do dziś. Oto młodzieniec z bliskiej Radogoszczy nie wie nic o niedawnym głośnym wyczeniu chuligańskim swojego rówieśnika z Helenówki. Tylko niedaleko poza Helenówek sięga krag czytelników jednej w Radogoszczy biblioteki, która mieści się w zajeżdżni. Robotnicy dwóch istniejących dotychczas fabryk mieszkają, jak przed laty, w dawnym rejonie przemysłowym — tam, gdzie kiedyś pozwolili im się ulokować fabrykanci.

Dopiero w roku 1921 uległy parcelacji „włości” niemieckiego Lorentza w centrum dzielnicy. Rozpoczęła się tu tandetna zabudowa z przeznaczaniem na „daczki”.

Wreszcie przed dziesięciu laty powstało ostatnie, czwar-te skupisko, znów całkowicie różne od pozostałych — osiedle przy ulicy Ziłowej.

Wcześniej jednak końcowym akordem zabrzmiało nazwisko Lange. Ostatni wójt gminy Radogoszcz, Edmund Lange, wkrótce po wkroczeniu hitlerowców rozpoczął służbę jako zastępca komendanta radogoskiej kazi.

TO JESZCZE NIE JEST HISTORIA

W roku 1939 co szósty mieszkaniec Łodzi był pochodzenia niemieckiego. W Radogoszczy — co drugi. Niemcy zamieszkiwali głównie rejon centralny (Niezapominajki — Gruszowa), zdążyli również do tego czasu skolonizować radogoskie rolnictwo. Na rolniczej ulicy Liściastej 90 procent mieszkańców stanowiły rodziny niemieckie, na ulicy Bema było nie więcej niż 15 rodzin polskich.

Hitlerowcy poczuli się jak u siebie w domu. Natychmiast zawiązała się „milleja ludowa”, której m. in. powierzono straż nad jeńcami polskimi.

Już po miesiącu do cegielni Dykmana zawieziono pierwszych zatrzymanych. W listopadzie „gotowa” była fabryka Abego.

Rozpoczęła się gehenna.

W ciągu czterech lat zakałowano tu około 30 tysięcy ludzi, o czym mało komu wiadomo, bo fakt ten przyćmiła ostatnia zbrodnia, najpotworniejsza.

„Nigdzie w Polsce nie spalono więźniów z żywymi ludźmi, tylko Radogoszcz zyskała tę tragiczną słowę” — czytamy w sprawozdaniu z procesu kata Pelzhausen.

Kiedy rankiem 19 stycznia fryzjer Stasiński (pracuje do dziś, ma 71 lat) zobaczył z okna swojego zakładu przy rogu Jagiellońskiej i Zgierskiej wylaniające się z zakrętu czołgi radzieckie, kilometr dalej SS-owcy właśnie ryglowali bramę płażącego więźnia.

Stasiński pobięły za czołgami. W roku 1914 zdobył dyplom felczera, teraz opatrywał czterech pozostałych przy życiu więźniów. Dla dwóch tysięcy ich współtowarzyszy, spalonych żywcem, nie było już ratunku.

Z perspektywy lat szesnastu tragedia zbliżała w swoim wyrazie. Rozrósł się natomiast i na dobre zakorzenił w umysłach „mit Norkwesta”. Ten poleniat niemiecki mieszkający w Radogoszczy, został ściągnięty do pomocy w ostatnim akcie. Wieczorem 18 stycznia wrócił do domu, napisał list zaczynający się od słów „Dla Niemiec, które bezbronnym ludzi mordują, nie walczę dłużej...”, po czym do łóżka gdzie spała żona, położył się z obdępczonym granatem.

I to właśnie Radogoszcz pamięta. Dorobił nawet do życiorysu Norkwesta całą „hagiografię”. Sakramentalne — „czas robi swoje”.

Ale na zbiorowych mogiłach pomordowanych, pod murem publicznego cmentarza dziś — jak 16 lat temu — spostrzec możecie co dzień wiązanki świeżych kwiatów.

Jednak dla wielu to wciąż jeszcze nie jest historia.

PEKNIĘTY WAZON

Jeśli przyjrzeć się mapie, zobaczymy, że Radogoszcz przypomina kształtem wazon. Niestety, wazon to mocno splekany.

Dzielnica wyszła z wojny opatrzona nazwą — symbolem. Choć nie oddziela jej obecnie od Łodzi żadna granica, wiadomo dziś i wiadomo będzie kilku co najmniej następnym pokoleniom, gdzie zaczyna się Radogoszcz. Białe obeliski z kamienia i czerwone mury spalonej fabryki...

Mimo, że nie przyniosła widomych zniszczeń, wojna zrujnowała Radogoszcz „od wewnątrz”. By zapewnić sobie swobodę, hitlerowcy usunęli stąd większość mieszkańców. Wiele starych rodzin już nie powróciło. W miejsce zbiegłych lub wysiedlonych Niemców napłynęły rzesze repatriantów, z którymi rdzenni radogoszczanie nie często do dziś nie mogą się pojechać. Panuje krzywdząca, choć zrozumiała opinia, że repatrianci zagarnęli najlepsze „kęski”. Wreszcie pozostałe jeszcze luzy wypełniła ludność robotnicza z dzielnic centralnych, poszukując tu lepszych warunków mieszkaniowych. Ci ostatni w żaden sposób nie mogą się dopasować do trybu życia przedmieścia. Większość dnia spędzają w centrum, ich ogrody zarosły dziesięcioletnimi chwastami.

Do roku 1939 były tu dwa oddziały ochotniczej straży pożarnej, działało koło Czerwonego Krzyża, Związek Wojskowy, co tydzień w remizaon odbywały się zabawy. Wszyscy mieszkańcy gminy, bez różnicy wyznań i narodowości, wspólnym wysiłkiem zbudowali szkołę.

W roku 1948 zmarł przedwojenny nauczyciel nazwiskiem Szkoda, „Cala” Radogoszcz poszła za jego po-

PEKNIĘTY

ców szuka sobie zajęcia daleko — „w mieście”.

POZOSTAŁ „BELWEDER”

A na smutne świadectwo kapitalistycznych zamierzeń z początku stulecia, pozostał „Belweder”. Stoł odsunięty nieco od Zgierskiej, pod numerem 188. Nikt nie wie, skąd wzięła się dziwna nazwa.

Został zbudowany około roku 1905 przez właściciela cegielni Dykmana, jako dom rodzinny dla robotników. Jednopiętrowy, z korytarzami na przestrzał i 28 kłitkami w roli „mieszkań”.

Ośmioletni Stanisław Sujecki sprowadził się tu z rodzicami i bratem w roku 1907. Dotąd nigdy nie opuścił „Belwederu”. Jego córka z mężem i dwójgim dziećmi zajmuje sąsiednie mieszkanie. Obok brat Jan z żoną, dał jej jego córka z rodziną. Trzeciego pokolenia rezydującego w „Belwederze” dochowali się także: Kacprzakowa, Kozłowska, Węglarczykowie, Cichacze, Pietraszkowie i Knaur. Wyjątkowo, jak na Radogoszcz, 20 rodzin mieszka tu „od przed wojny”, tylko 6 — to późniejsi przybysze.

Wspólne kiedyś miejsce zatrudnienia, długie lata współżycia, zespolili nadzwyczajnie mieszkańców „fa-mul”. Po wojnie do budynku nikt się „nie przysnał” — ani Dykman, ani następny właściciel ziemi, na której stoi dom, ani MZBM. Lokatorzy na własny koszt w roku 1947 przeciagnęli sieć elektryczną. Trzy lata temu rada narodowa dokonała remontu, jednak komornego nikt nadal nie chce, 80-osobowa rzeczpospolita mieszkańców nadal rządzi się sama, ustala wysokość składek na kominowe i repa-

— musiałyby szukać odpowiedników chyba aż na Księżym Młynie.

BŁĘDNE KOŁO

Nazywał się Miller i mieszkał przy ul. Zgierskiej 250. Sprzed wojny był kasiarzem i potokarzem (co oznacza specjalność — ściąganie z wagonów). Zjeżdżał się do staruszka przyjaciela — dolinarze, płynęła wódka. Umarł w 1957, jako ostatni w Radogoszczy „zawodowy” przestępca.

W roku 1949 wracająca z ćwiczeń strzeleckich grupa uczniów uzbrojonych we flowery tylko przypadkiem uratowała z rąk nożowników dwie kobiety, które od przystanku tramwajowego wybrały się do domu krótszą drogą przez lasy. Wypadki napaści połączonych z grabieżą i biciem, zdarzały się często. Jeszcze w statystyce roku 1958 Radogoszcz figuruje wśród dzielnic Łodzi na drugim miejscu pod względem ilości wy-czynów chuligańskich.

Stopniowo jednak uspokoiło się. Ubiegłego lata wprowadzie pobito konduktora w poczekalni w Helenówku, ostatniej zimy ktoś wyrwał „z korzeniami” i wyniósł z poczekalni cały automat telefoniczny, ale wypadki to już sporadyczne. Wiele działał mundurowi i społeczni stróże porządku, więcej wszakże — czas. Chuligani sprzed lat pięciu dorosli, mają żony i dzieci, a następów nie znaleźli. Zważywszy bowiem, że jesteśmy teraz w okresie wyrażnej „przerwy”, dorastają roczniki wojenne, skape pod względem ilości urodzeń.

Dzisiejsza młodzież jest inna, „uregulowana” — mówi bibliotekarka z Helenów-



Fryzjer Stasiński — mieszkaniec dzielnicy od lat 40
Fot. A. Rzepa

cję dachu, wieczorami zasiada wspólnie przy sześciu już odbiornikach telewizyjnych.

A kiedy przed świętami umarł stary Kacprzak, „Belweder” na swoją skalę powtórzył „manifestację” z roku 1948 — dosłownie wszyscy mieszkańcy byli na cmentarzu.

„Belweder” unikat w zatomizowanej Radogoszczy

ka. Ma aż 60 czytelników spośród zamieszkałych w rejonie około 200 młodzieńców w wieku 18—20 lat. Kilku dało się namówić do dalszej nauki, pięciu z nich



WAZON

odchodziło do wojska, przed wyjazdem przyszli szarmancko się pożegnać.

Kiedy pomny przestępceję przeszłości Radogoszczy, przeglądając rejestr ostatnich wykroczeń w dzielnicy, który sporządzałem na podstawie rozmów z „dzielnicowym” i mieszkańcami, nie mogłem powstrzymać się od czegoś w rodzaju pobłażliwego uśmiechu. Jan P. lat 23, jeden z dwóch braci — znanych tutejszych łobuzów, włamał się do przedszkola i ukradł dziecinny projektor. 16 marca złapano Jana K. z ulicy Rybnej, który na specjalną wędkę łowił tutejsze kury. Ktoś komuś „podebrał” ogórki z grządk, został napiętnowany na publicznym zebraniu działkowiczów. Pocztowiec z Ziołowej wsadził sobie pod pachę cudzą gęś i zaniósł do pobliskiej prywatnej restauracji.

Ale nadciąga nowa fala. Trzecią część ludności Radogoszczy stanowią urodzeni po roku 1945 (dokładnie według spisu — 2.681 osób). Coraz częściej w pustych ulicach spotyka się gromady czternastolatków. Choć nie odważa się jeszcze nikogo zaczepić, już patrzy „wilkami”. Kolejno na wszystkich metalowych tabliczkach z nazwami ulic wydrapują gwoździakami swoje imiona w asyście nieuczestnych wyrazów i rysunków. Wieczorami ciągną wino w tak zwanych przez siebie świetlicach — czyli w budkach poczekalni tramwajowych. Rosną następcy.

Można by wykorzystać aktualną „przerwę” celem edukacji czternastolatków. Ale nie ma po temu żadnych możliwości. Nawet jedyną w dzielnicy, mikroskopijną świetlicę w zajezdni tramwajowej ostatnio zlikwidowali, bo rzekomo nachodzili ją chuligani. Nie miała większego znaczenia, ale...

Zamknęła drzwi nie tylko świetlica. W ten sposób zamyka się błędne koło.

IMPRESJE: WÓDA I CZAS

Jeżeli ktoś powie im, że mieszkają nie w Łodzi, a „pod Zgierzem”, oburzają się. Poniekąd mają do tego prawo — Radogoszcz jest przecież wyłącznym produktem kapitalistycznej metropolii, urodziła się z Łodzi. Do dziś nit zadzierzgnęła żadnych więzów ze swoim bliższym sąsiadem zza miedzy. Bilet tramwajowy do Łodzi kosztuje 50 groszy, do Zgierza — jeden i pół złote. Chociaż bliżej, nie ma tam co jechać po zakupy, bo można wrócić z pustą torbą. Tylko z Helenówka czasem ktoś „podskoczy” do apteki.

W kompleksie „antyzgierskim” główną rolę odgrywa zresztą nie tyle względy racjonalne, co wielkomiejski patriotyzm, tym bardziej zacięty, im mniej uzasadniony.

Podobno aż do roku 1950 na Przedwiośniu wisiały tabliczki z napisem „Ulica Józefa Piłsudskiego”. Władze dzielnicy przeoczyły to, z mieszkańcami nikt nie zainteresował się paradyksem. O próbie zainteresowania trudno i dziś — w swoich wędrówkach po Radogoszczu nie natrafiłem na żaden konkretny ślad inicjatywy społecznej, żadnego choćby znakowania ulic czy malowania parkanów.

Jedyną okazją do „życia zbiorowego” dostarcza prywatny „Bar Zgierski”, mała knajpka. Właściciel ma sprawę za nielegalny handel wódką.

Kiedyś pewien stały bywalec przyprowadził tu ze sobą znanego w okolicy działacza społecznego. Zdziwiony usłyszał: „U nas wódki nie ma i nigdy nie było”. Wiadomo kogo można ugościć.

W jednym ze sklepów przy Zgierskiej trzeba było wprowadzić zakaz sprzedaży alkoholu, bo bywało często, że w ogrodzie ośrodka zdrowia po drugiej stronie ulicy pokotem „zalegali” pijani. Pokazywać się w nietrzeźwym stanie nawet tramwajarzowi

w mundurze nie ujął. Oczywiście nie na służbie, lecz w dniu wypłaty przed załadunkiem, w gronie zawiązanych kolegów.

Natknąłem się na jedną tylko oazę, gdzie pijanym wstęp wzbroniony. To ogródki działkowe.

Radogoszcz obficie spływa „wódką”. Trzeba jakoś za bić monotonię. Dni, podobne jak kropla do kropli, nakładają się na siebie, zatracają się poczucie czasu. Wszyscy rozmówcy wmawiali mi, że słynna nielegalna wyprawa dzika lokatorów Ziołowej zdarzyła się rok, najwyżej dwa lata temu. Że to w ubiegłym roku chuligani gonili przez całą dzielnicę dwóch żołnierzy.

W rzeczywistości od obu tych wypadków dzieli nas okres pięciu lat. Tu wszakże nie ma na czym zaczepić pamięci.

ZIOŁOWCY

Aż wierzyć się nie chce, że „slumsy” Ziołowej są produktem naszego czasu. Za państwowe pieniądze, pod nadzorem państwowych architektów, sklecono je w roku 1950, gdy równocześnie w śródmieściach wyrastały paradne „emdeemy”.

86 ciasno stłoczonych baraków, w każdym przeciętnie cztery mieszkania złożone z pokoju i większej węgny na kuchnię, bez elementarnych wygód, bez zabezpieczenia przed zimnem i wilgocią.

W zamierzeniu miały być etapem przejściowym dla ludności domów przeznaczanych do rozbioru. Tak na przykład w roku 1951 przesiedlono tu 113 rodzin z remontowanego budynku przy ul. Kilińskiego 40. Kiedy remont się skończył, ich dawne mieszkania otrzymali ludzie z mocnymi plecami. Przez 5 lat bezskutecznie wydeptywali ścieżki urzędów. Wreszcie w listopadzie roku 1956 pod osłoną nocy 35 rodzin „kilińszczaków” wdarło się do wykonanego właśnie nowego bloku przy Uniwersyteckiej.

Krótko po tym pozostałe rodziny z Kilińskiego otrzymały również mieszkania w blokach.

W ten sposób odeszła z Ziołowej ostatnia zwarta grupa „tymczasowych” mieszkańców. Dziś osiedle jest „zbiorem wszystkich kategorii ludzi z wyjątkiem inteligencji” — że zacytuje dosłownie zdanie listonosza. Na Lawendowej kilka baraków należy do pracowników Łódzkich Zakładów Garbarskich, którym przedsiębiorstwo urządziło tu mieszkania. Reszta to lokatorzy z „doboru naturalnego”. A doboru najczęściej wygląda w ten sposób, że „boga” rodzina pozostawia za dopłatą lepsze mieszkanie w mieście i przenosi się tutaj. Selekcja trwa nieustannie, co miesiąc pojawiają się 2-3 nowe rodziny. A kto może, wyrwa się z Ziołowej.

Kilku — widać — osiadło tu na stałe: dobudowane w randy przed sionkami, pielegnowane ogródki. Ale tych jest znikomy procent. Ktoś, kto z obowiązku stale odwiedza współlokatorów, powiedział mi: „Jest trzy czwarte mieszkań brudnych i zaniedbanych”. Zaśmiecone ulice, rozwalające się płoty, ani jednego trawnika...

Spis Powszechny wykazał zagęszczenie ponad wszelkie przeciętne — 2,1 na izbę. Jako izbę liczone również te „półkuchnie”. Co roku z osiedla napływa do milicji i prokuratury około 50 skarg sąsiedzkich.

Trzy lata temu ukradziono



Radogoszcz: kwiaty w ogródkach przy domach

Fot. W. Biliński

zapasowy motor z hydroforu. Główny ciągle się psuje, przynajmniej 2 dni w tygodniu Ziołowa jest bez wody. Motor kosztuje niewiele ponad 2,5 tysiąca złotych, ale składkę nie sposób zorganizować, choć na pomnik Kościuszki osiedle dało by nawet więcej.

Około dziesięciu rodzin nalogowych alkoholików. Wstrząsają osiedlem raz po raz pijackie awantury. Miejscowej milicji zdziwiło się już interweniować, za każdym razem trzeba wzywać patrol Pogotowia. W obawie przed izbą wytrzeźwień, żony najczęściej „nie dają” zabrać mężów. Lokatorka z Rumiankowej 6 chroniła się kilkakrotnie z dziećmi u miejscowego opiekuna społecznego, kiedy pijany mąż przewracał dom do góry nogami. Któregoś dnia opiekun poszedł do cegielni, gdzie ów „żywiciel rodziny” pracuje, prosić by pensję wypłacono żonie. Przybiegła do niego z awanturą — po co się wtrąca.

Zimą milicja zlikwidowała trzy melny pijackie, ale ktoś szczerzy wyliczył mi 12 istniejących aktualnie. Bo jak przychodzi światło, to przecież nikt po wódkę nie będzie łaził do miasta.

W 1959 roku pojawił się w osiedlu pierwszy telewizor. Zainstalował go sobie kierownik sklepu motoryzacyjnego, niejaki Smachluk, obecnie w więzieniu. Wpuszczał do siebie dzieci z osiedla, brał od nich złotówkę lub dwie za oglądanie filmu. Dziś nad barakami sterczy już chyba z pięćdziesiąt anten telewizyjnych.

A lekarz szkolny uważa, że 40% dzieci z osiedla jest niedożywionych. Szkoła z liczbą tuczących uczniów obejmuje dożywianiem 120, wskazuje tylko piętnastoro z nich „stać” na zapłacenie pełnej składki — 3 złote dziennie. Tyle samo wynosi miesięczna składka na komitet rodzicielski. Połowa rodziców nie płaci wcale, połowa — bardzo opornie.

Z CHŁOPA KRÓL

Ziemi ornej 138 hektarów i 72 gospodarstwa — oto ra-

dogoskie rolnictwo. Przed wojną było w zasadzie domeną kolonistów niemieckich. Obecnie połowa gospodarzy to repatrianci, połowa zaś — miejscowa biedota, oddzielona z reformy rolnej. Głównym skupiskiem rolników jest ulica Liścisława.

Nie stanowi tajemnicy, że przed wojną chłop z okolic Brześcia posiadał wyższą kulturę rolną, niż jego sąsiad z Mazowsza. Nic dziwnego, że w Radogoszczu trudno byłoby dziś znaleźć zacofane gospodarstwo. Ludzie to raczej zamożni, na Liścisławie znajdują się w budowie około 10 domów. Z każdej rodziny choć jedna osoba „dorabia” w mieście.

„Szef” radogoskich chłopów, prezes kółka rolniczego — Walerian Kuźmiński, gospodarz z działki przadziada, mieszka w poniemieckim pałacyku a jego główne narzędzie pracy stanowi telefon. Do kółka należy 40 gospodarzy. Dość niezwykłe to kółko. Głównym źródłem jego dochodów jest warsztat kowalsko-ślusarski i punkt remontowo-budowlany, który podejmuje roboty w mieście na milionowe sumy. Rok 1960 zamknął się 400 tysiącami czystego zysku. Kupiono za cały zestaw maszyn rolniczych. Są realne plany zbudowania wielkich szklarni, by w momencie, kiedy trzeba będzie ziemię oddać miastu pod zabudowę, wszyscy zrzeszeni rolnicy znaleźli tam pracę i źródło utrzymania.

Podobno kółko rolnicze wznieśli swoim sumptem również dom kultury z kinem. Nowy paradoks, ale jak dotąd, chyba tylko z „chłopskiej strony” dostrzec można znamiona postępu i rozwoju przedmieścia.

PROGNOZY

Tylko w niewielkim stopniu dotarła tu przed wojną tak charakterystyczna „indywidualna zabudowa inteligenta”. Zaniedbane obecnie pałacyki na Bema, Przedwiośniu i Sasanek należały do „lepszych” Niemców.

Dziś wille dorobkiewiczów podchodzą już pod slumsy

Ziołowej. Czy to jest konflikt nowego ze starym, czy raczej starego ze starszym?

Powstała po wojnie ulica Cyprysowa, cała złożona z wili. W ciągu ostatnich trzech lat zbudowano ich w Radogoszczu ponad 30. Drobna prywatna własność ziemi powoduje jednak, że zabudowa ta prowadzona jest nieskładnie, bez żadnej koncepcji architektonicznej czy urbanistycznej. Rosną wille — cudenka oraz wille-potworki, szerry się wciąż jeszcze „dzikie” budownictwo.

Po raz pierwszy w historii przedmieścia planowa zabudowa wkracza na tzw. „parcele Dykmiana”. Na obszarze ograniczonym ulicą Zgierską, Liścisławą, Prawą i przedłużeniem Bema wytyczono 120 działek pod osiedle domków jednorodzinnych. Tamże doprowadzony zostanie wodociąg miejski.

Jeszcze Zgierską aż do granic miasta pokryje szlachetna nawierzchnia, przy rogu Ziołowej powstanie pawilon handlowy, gdzie m. in. znajdzie pomieszczenie tak długo oczekiwana apteka. To jednak już niemal wszystko, co ofiaruje się dzielnicy w bieżącej pięcioletce.

Zwykle bywało podobnie — za blisko Łodzi, by mogła się wyklarować samodzielna osada, za daleko, by miasto chciało szczerze spytać dobrodziejstwem cywilizacji.

Miała być Radogoszcz ośrodkiem przemysłu — nie wyszło. Miała być podlódzka „daczka” dla letników — nie udało się. Zamiast podmiejskiego centrum mieszkaniowego narodziła się karykatura w postaci Ziołowej.

I pozostaje tak, jak ją ukształtowały nieobliczalne pomysły historii: z konfliktami narodowościowymi, biedą spychaną na przedmieścia, bez zewnętrznego wyrazu, co krok inna, razbita na łzawość skurśka. Dobrze, że chociaż dzieci od roku mogą się uczyć w nowej pięknej szkole. Mają przedsmak przyszłości, kiedy miasto rozstrzygnie ostatecznie co zrobić z fantem, któremu na imię Radogoszcz.

JULIAN BRYŚ



Fot. W. Biliński

ZBIGNIEW NIEACKO

Wolek TUDASZÓW

Dalszy ciąg
ze str. 1

chustki. Wychylona pozwała-
ła chusteczkę trzepotać, choć
chłód mroził jej nos, a wiatr
rozwichrzył włosy.

— Zilimno! — pisała kto-
raś z bab-spekulantek.

— No, zdrowo — niechętnie
mruknął im czerwonoar-
mista.

Młoda kobieta odstała od
okna. Czerwonoarmista po-
spiesznie ją zatrzasnął; teraz
szczęrzył w uśmiechu duże,
ostre zęby.

I znowu wtuliła się w swoje
futro. Ale już nie zasnęła.
Albert poznawał to po ostro-
nym drganiu jej powiek. Sie-
działa na ławce bokiem, nie-
wygodnie. Albert domyślił się,
że obserwuje chudego męż-
czyznę w okularach. Ten za-
chowujący się dość dziwnie.
Już nie było w nim nic z
beztroskiego żarłoka. Raz po
raz przykładał twarz do szy-
by spoglądając na biegnący
obok pociąg gesty sosnowy
las. Okulary jak by przeska-
dzały mu. Zdjął je — miał
rozbiegane, czujne oczy. Ale
nie wyglądały na oczy krótko-
widza.

Pociąg jechał coraz szyb-
ciej i szybciej. Przenikliwe
klekotał stary wagon. Zgrzyt
resorów, drzwi, okien, szkła
i łańcuchów głuzył i po-
chlaniał każdy inny dźwięk.
Zdawało się, że pociąg sta-
cza się w przepaść loskotu,
za chwilę zderzy się z ja-
kimś miażdżącym wszystko
hałasem. „Pęczę po śmierci”
— targnęło Albertem. Uczuł
strach tak wielki, że wczepił
się palcami w ławkę, aby
nie krzyknąć. Pośpiesznie szu-
kał w głowie myśli, które
mogłyby odwrócić jego uwa-
gę od tego, co oczekiwało go
u kresu tej podróży. Przebie-
gały mu przez głowę jakieś
strzępki zdań angielskich,
zwrotów, słów. Wreszcie przy-
pomniał sobie ulubiony frag-
ment z Byronowskiego „Man-
freda”, i począł go powta-
rzać w pamięci. „Kocham pa-
tos, jak kiepski aktor, a czy
nie kiepskiego aktorstwa trze-
ba, aby wcielić się w rolę Al-
berta?” — pomyślał i jeszcze
raz, od nowa powtórzył stro-
fę.

Nagle zgrzytnęły hamulce,
pociąg wstrząsnął gwał-
townie drżenie, pekaty tłumok-
ki bab spadły Albertowi na
kolana. Za oknami klasnęła
krótka salwa z pistoletu ma-
szynowego, gdzieś obok, mo-
że w sąsiednim przedziale,
posypało się szkło. Zastukały
pojedyncze głośnie wystrza-
ły karabinowe. Pociąg rap-
townie zwalniał.

Młoda kobieta w karaku-
łach rzuciła się do drzwi.
Żarłok spod okna uchylił
szyby i ostrożnie wyjrzał na
dwór. Nikt nie zauważył, jak
i kiedy w jego kierunku zna-
lazł się odbezpieczony pisto-
let. Strzelił trzykrotnie, pra-
wie nie celując.

— Pod ławkę! Pod ławkę!
— żarliwie wołał pleban, gra-
moląc się pośród tłumoków
na podłodze.

Czerwonoarmista błyska-
wicznie zdjął z półki karabin,
zarepetował i teraz skradł
się do okna. „Ojcie nasz, któ-
ryś jest w niebie...” — mo-
dliły się baby, nie potrafiąc
wcisnąć swych obfitych ciał
między rury zagradzające
miejsce pod ławkami. Albert
skulił się w kącie przy
drzwiach, od okna osłonił się
tłumokiem.

Rozerwał się granat. Póź-
niej drugi. Automaty ujada-
ły prawie bez przerwy. Rap-
tem umilkły i nastąpiła cisza.

Pociąg stał w tesie, na
niskim nasypie. W otwartym
oknie bezładnie leżał żarłok.
Głowa, piersi i ręce zwi-
sały na zewnątrz. Albert wi-
dział tylko jego drgające
konwulsyjnie nogi. Obok na
ławce spadły rogowe okula-
ry.

— Nie podchodzić do
okien! — wołał ktoś. Na
żwirze nasypu dzwieczyły pod
kute buty, słychać było gło-
sna komendy.

Wtem wbiegła do przedzia-
łu kobieta w karakulach.

Znowu miała na głowie czer-
woną chusteczkę w białe gro-
chy.

— Czo? Czo słuczyłoś?
— chrapliwie zapytał ją
czerwonoarmista.

— Nie wiem. Nie wiem.
Zabity? — mówiła trochę nie-
przytomnie, patrząc ze strachem
na martwe ciało w ok-
nie.

— „Rokita”, „Rokita” na-
padł. Tu jego kraj... — z po-
dłogi zabrzmiął głucho, głos
plebana.

— „Zdrowaś Mario, łaskiś
pełna, Pan z Tobą” — mo-
dliły się głośnie baby.

Na korytarzu załomotały
kroki. W drzwiach przedzia-
łu stało trzech uzbrojonych
mężczyzn w polskich mundu-
rach, w rogatywkach, z pepe-
zami w rękach. Młodziak z
wypięgnowanymi czarnymi
wąsikami delikatnie odsunął
na bok kobietę w karakulach
i trącając czubkiem buta wy-
pięte pośladki bab, torował
sobie drogę do okna.

— Nie żyje. Ubek. — stwier-
dził sucho pochylając się nad
zabitym.

Chwycił martwego za no-
gi, bez wysiłku przeważał
ciało i wyrzucił je z wago-
nu.

Czerwonoarmista ucieszył
wzrostem polski mundurów i

Albert odrzucił od siebie
tłumok. Dotknął ręki kobie-
ty.

— Słabo pani?

Przecząco pokręciła głową.
Nasłuchiwała. Korytarzem zno-
wu nadchodziło kilku ludzi.
Szli wolno, zgrzytnęły drzwi,
zapewne zagadali do każde-
go przedziału. Albert siedział
szytywno, na próżno próbując
opanować drżenie rąk.

Usłyszał, jak w sąsiednim
przedziale żądali okazania
dokumentów. „Dokumenty?”
Co im powie, mój dokument?

Jestem w nim Albertem —
zastanawiał się. — Jeśli ze-
chcą zrobić rewizję, znajdą
pistolet, a wówczas rozwałą
mnie zanim zdolam zażądać,
żeby zaprowadzili mnie do
swego dowódcy? A dowód-
ca? Czy zaufa Albertowi?...

Głośnie posapując podniósł
się z podłogi księżula. Na
czarnej sutannie zaznaczyły
się szare plamy kurzu. Za je-
go przykładem wstały baby.
Popatrzyły na księdza błagal-
nie, jakby oddając się pod
jego opiekę. Pleban otrze-
pywał się pyłu, wtem krzyk-
nął i ze wstrętem odsunął
od siebie własną rękę. Dłoń
miał splamioną krwią, krop-
le skapywały ze stolika pod
oknem.

Do przedziału zajrzał ów

leka — znak, rozkaz dla ko-
goś.

Młodziak huknął na Alber-
ta.

— Czyje to walizki? No
te, na półce?

— Moje.
Pogardliwym spojrzeniem
otaksował nowiutki płaszcz
Alberta, pilśniowy szary ka-
pelusz.

— Co pan w nich wieziesz?

Handelek, co?

— Trochę książek. Bieliz-
na. Garnitur.

— Taaaak?

Albert zdjął z półki waliz-
ki. Nie spiesząc się wyciąg-
nął z kieszeni kluczyk, otwo-
rzył zamki.

Młodziak z wyraźnym roz-
czarowaniem wyjął rękę z po-
miedzy koszul, krawatów,
niedbale przerzucił rękawy
i nogawki czarnego garnitu-
ru. Dłużej zatrzymał się przy
książkach, niektóre wziął na-
wet do ręki, z nieukrywanym
łakomstwem lektury popraw-
ną angielszczyzną odczytał
kilka tytułów.

Potem cofnął się na kory-
tarz i pogwizdując przez zę-
by zajrzał do następnego prze-
działu.

Za oknem przeciągle zawył
głos komendy. Zadudniły bu-
ciory na korytarzu.

— O, jedziemy! — pisał

czestwa. Ksiądz zakończył
szepkanie modlitwy i zwrócił
się do Alberta.

— Niech pan sobie wyob-
razi, że ostrzegano mnie
przed tą podróżą. Jedziesz
w kraj „Rokity”, mówiono mi,
tam nie ma dnia bez napadu,
bez strzelaniny. No, dzi-
siejsz nigdzie nie jest spokoj-
nie. Prowadzę pracę duszpa-
sterską w wiejskiej parafii
koło Włocławka, dwa razy
były u mnie na plebanii od-
działy leśne. Co prawda, wy-
glądali raczej na zwykłych
bandytów, niż na partyzan-
tów...

Baby-spekulantki naradzały
się półgłosem. Jedna z nich
wyciągnęła pieniądze z białe-
go zawiniątka, druga cępne-
ła księdza za rękę i pocało-
wała.

— Na Msze Świętą. Niech
ksiądz odpawi, za cudowne
uratowanie życia. Naszego i
księdza.

— Nie tak, nie tak! —
rozniewał się księżula. —
Nie było w tym cudu, wy to
zaraz we wszystkim boskiej
ingerencji się dopatrujecie. U
„Rokity” dobremu człowieko-
wi nic nie grozi. Prawda,
proszę pana? — powołał się
na Alberta.

Ten pokazał na zielony wo-
reczek czerwonoarmisty pozo-
stawiony na półce.

— Nie wiem, czy to był
zły człowiek...

Ksiądz przestraszył się.

— Tak, tak. Zapewne. Kto
to może wiedzieć? Zabili go,
mój Boże. Wojna, proszę pa-
na. Wojna nie przebiera.

— Wojna skończyła się
prawie rok temu. 8 maja
1945 roku — zauważył iro-
nicznie Albert.

Ksiądz bezradnie rozłożył
ręce.

— Tym młodym chłopcom,
co tu weszli do przedziału,
marzyła się inna Polska, pro-
szę pana. Nienawidzę przele-
wu krwi, ale jestem księdzem,
muszę rozumieć ludzkie słabo-
ści. Spowiadał się u mnie
kiedyś taki jeden z lasu. O,
zabił panie niejednego. Pyta-
łem go: jesteś w stanie bez
niepokoju sumienia i duszy
swojej ponieść ciężar przela-
nej przez ciebie krwi bratniej?
— Tak, proszę księdza — od-
powiedział. Ten ciężar tym-
czasem niesie za nas histo-
ria. Ona nas potępi albo roz-
grzeszy. I dalem mu stule
do pocałowania. A potem
rzekłem: „In nomine patris
et filii, absolvo”. Ale całą
noc krzyżem w kościele le-
żałem. Bóg osądzi i jego i
mnie — wzruszył się, głos
mu się zalał.

Albert kiwnął głową.
— Historii nie można ufać.
Jej wyroki są omyłne. Wiem
o tym, jestem historykiem.

— Oczywiście — podchwycił
żywo ksiądz — bo wyrok
historii również ferują ludzie.
Ale jest przecież i historia
nie napisana, ta, którą w
swej pamięci przechowuje
naród.

— Naród ma krótką pa-
mięć — Albert lekceważąco
wzruszył ramionami.



orzelków. Uśmiechnął się sze-
roko.

— E, ty ruski, chodź —
kiwnęli na niego palcem, wy-
chodząc z przedziału. Po-
pieszył za nimi zadowolony
że będzie potrzebny. W ko-
rytarzu wyszarpnęli mu kara-
bin z ręki.

— Nu czo? Czo? — de-
nerwował się. Ale go popchnę-
li, nadziewając na lufy pe-
pesz.

Umilkły ich kroki, trzasnęły
drzwi wagonu. Za chwilę kró-
ko uderzył wystrzał pistoletu.
Wybuchnął przenikliwy
krzyk bólu, zalał się, prze-
szedł w gruby zwierzęcy jęk,
który uciszył dwa nowe wy-
strzały.

Młoda kobieta osunęła się
na ławkę, prawie mdlała. Na
jej białych policzkach nerwo-
wo dygotały muskuly.

z czarnymi wąsikami. Był
bardzo przystojny, z kobiecy-
mi wiśniowymi ustami. Ro-
gatywka trzymała mu się za-
wadiacko na tyle głowy.

— Ksiądz ranny? — za-
troskał się.

— Nie, nie. To ze stół-
ka ścieka... — gorliwie za-
przecczył księżula.

— Ten Ubek tak was ur-
ządził. No nie. Zdechł. A
pan, co za jeden? Wstań pan!
— rozkazał Albertowi.

Albert powoli podniósł się
z ławki. W jednym oka-
mgieniu zobaczył czubek
pantofelka młodej kobiety,
trącającej cholewy wysokich
butów młodziaka. Krew na-
płynęła mu do twarzy. Zro-
zumiał. To przebudzenie się,
czerwona chustka powiewają-
ca z okna i widoczna z da-
lądzie.

radośnie ksiądz.

— „Pod Twoją obroonę...”
— zaintonowały baby, ale
ksiądz gwałtownym ruchem
nakazał im ciszę. Sygnęło
strzałami.

Twarz młodej kobiety wy-
rażała ogromne zmęczenie.
Kilkakrotnie przeciągała pal-
cami po czole i skroniach,
jak by uśmierzając trapiący
ją ból głowy, potem przy-
knęła oczy i z rękami na ko-
lanach trwała tak bez ru-
chu nie śpiąc i nie patrząc
nigdzie. „Czyżby to był jej
pierwszy występ, ten współ-
udział w napadzie na po-
ciąg?” — zastanawiał się Al-
bert.

Pociąg szedł już szybko i
równy. Klekotanie starego wa-
gonu wydawało się teraz
czymś miłym, uspokajają-
co oddalał się od niebezpie-

JERZY WILMAŃSKI

PORA ROKU

Jarkowi Rymkiewiczowi

Gdy wierzby osmalony konar romantyczny
a herold na drzewcu wznosi łopocące ptaki

gdy pisk metalowy zawibruje w uchu
i pudła sosnowe wypełnione szczerlnie

wtedy zawodzą płaczki
wtedy kaszla werble,

złamana nieuchronność czerwca stycznia maja

horyzont się przybliży i brunatno kwitnie
tak więc oto
rodzi się nowa gorzka pora roku



WIERSZ O PRZYCZYNACH

Tak więc oto zaczynać usychać tygodnie
i kruszy się lodyga

Czas przerwać podróż
Albo rozpocząć podróż
Lecz nie kursują statki po rzekach pełnych mielisz

I to przyczyna pierwsza

Horyzont jest statyczny i nieosiągalny
Potem przyjdzie refleksja na temat horyzontu
Za lasem który osiągniesz różnie inny las
I to przyczyna druga

Przyczyny trzeciej nie ma
Pocóż przyczyn szukać
Kiedy nie ma podróży chociaż podróż trwa



OBRONA KRAJOBRAZU

A kiedy już nie potrafisz liryczniej
bardziej miękko
zgarbi się noc nie wrażliwa na gest

I cóż pocniemy wówczas z krajobrazem

a nad polem dymi żniwa pył
a przedmieściem pyli się ulica
oddychają rudym dymem miastka
to słońce zachodzi i konwencja licha

cóż zatem począć z krajobrazem
zgarbionym
odchodzącym w dym
w pył



„O spokojny sen łodźian” — omówienie audycji obok.

Napoczynamy konserwy

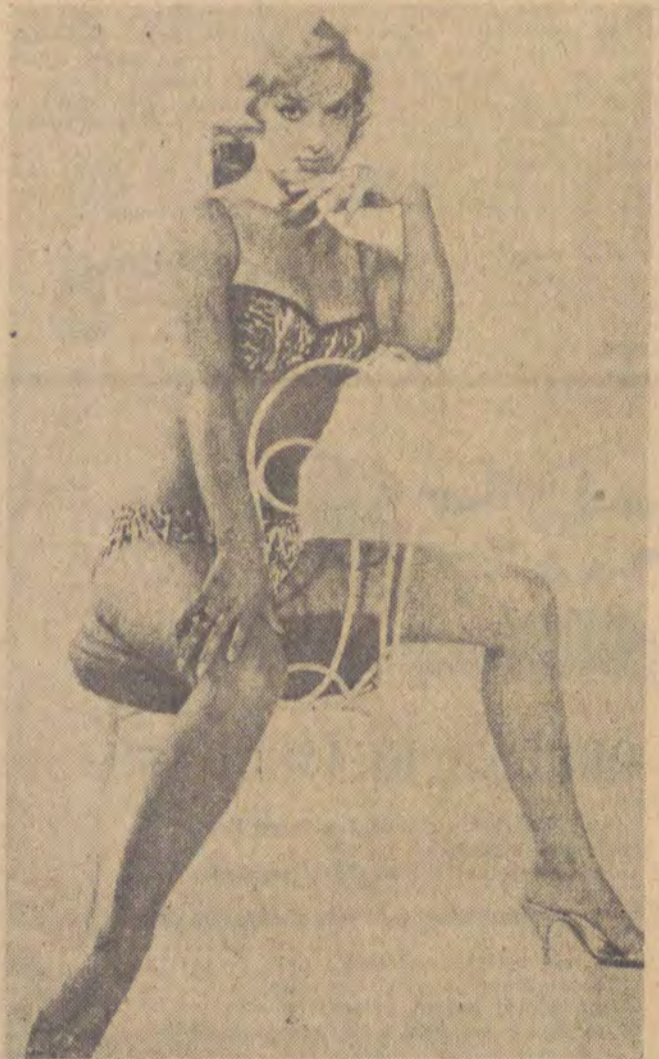
Ze pora roku jest tro-
nijaka, niby już je-
sień, a dopiero lato,
przeło i telewizja poczęła
sobie sprytnie, zagęszczając
program, ale zarazem napo-
czynając telerecordingowe
konserwy. Sobotnie powtó-
rzenie widowiska Janusza
Oseki „Psst 17” poszło bo-
wiem z aparatury telerecor-
dingu, sprawdzając nasze
dość kiepskie mniemanie o
dotychczasowym stanie tego
technicznego cuda — odbiór
był zamglony, nieco gorszy
niż przeciętny odbiór filmu
w telewizji i — rzecz jasna
— ani się nie umywający do
widowiska idącego bezpośre-
dnie ze studia. Co nie znaczy
głęboko, że sama idea
jest zła — raz, że normalna
rzecz kolejną doczekamy się
technicznych usprawnień, a
dwa, że lepsze to co jest, niż
zupelne zgubienie raz zrea-
lizowanego widowiska.

Inna już sprawa, że his-
toryjka o szpiegu Psst 17 ani
od strony tekstu, ani też od
strony realizacji z pewnością
nie należy do najciekawszych

rzeczy, jakie w telewizji
oglądaliśmy — rodzaj hu-
moru jest tu trochę naciaga-
ny a nade wszystko nieco
jednostajny, zaś wykonaw-
cy, nawet tak obcy z tele-
wizją jak Alina Janowska,
prowadzą swoje role raczej
sztafprowo i bez inwencji.
Tyle, że sprawdziliśmy raz
jeszcze, iż mamy w Czecho-
wiczu aktora całą gębą, bo-
gatego, precyzyjnego, nie
nadużywającego zbytecznie
środków ekspresji, słowem
— chciałoby się rzec — praw-
dziwie telewizyjnego.

Miał rolę dużą, prowa-
dzącą, mógł się wygrać i
może dzięki niemu głównie
nie nudziliśmy się w ostatni
sobotni wieczór. Zapewne —
dobre i to.

W niedzielę, znów z ta-
śmą, oglądaliśmy montaż pio-
senek zatytułowany „Warsz-
awa da się lubić”. Odbiór
był jak by znośniejszy, choć
oczywiście od ideału daleki.
No i znów mieliśmy Cze-
chowicza...



Z żalem żegnamy lato i „opórkowy sezon” w telewizji,
który przyniósł jednak wiele znakomitych filmów.
Ze smutkiem witamy jesień i z niepokojem jesienno-
zimowy program TV. Co też przyniesie?

Wszystkie Grzechy Główne

Przyznaję: w ostatni po-
niedziałek ubiegłego miesia-
ca poczęłam sobie jak czło-
wiek nierozważny i teraz
będę się musiał narazić ko-
lejnemu z coraz to, nieste-
ty, mniej licznych telewizyj-
nych znajomych. I tak miast
wyłączyć się natychmiast
po omówieniu lokalnego pro-
gramu tygodnia — lekko-
myślnie obejrzałam audycję
publicystyczną zatytułowa-
ną „O spokojny sen łodźian”,
która na przestrzeni
marnych piętnastu minut za-
warła wszystkie niemal grze-
chy główne, jakie — wydaje
się — w audycji tego typu
można w ogóle popełnić.

Już sam tytuł był — ogłęd-
nie mówiąc — nie najbar-
dziej fortunny, sugerował
bowiem niedwuznacznie pod-
jęcie problemu „bałasów
nocnych” z działalnością gi-
gant-śmielek i rozwozi-
cieli mleka na czele, ale nig-
dy, przenigdy problemu
chuligaństwa, w dodatku
chuligaństwa omawianego
od strony orzecznictwa są-
dowego, a nie — powiedz-
my — pracy milicji. Żeby
było bardziej tajemniczo —
zupelnie jak w „Kobrze” —

wstępny reportaż prze-
niósł nas w progi szpitala
pełniącego ostrego dyżuru. Ro-
zumieć, autor chciał zas-
ugerować, że oto spokojny
łodziński wracając wieczor-
kiem do domu może miast
w objęcia rodziny, trafić z
rozbitą głową na salę ope-
racyjną. Ten wykwinny
wszelako zabieg nazywany
wśród ludu „lapaniem się
prawą ręką za lewe ucho”
— mógł co najwyżej do re-
szty skołować widzów.

Szczególnie, że komenta-
ryz (sądząc z charakter-
ystycznego jękania się lekt-
ora) — improwizowany na ży-
wo — również nie za bardzo
trzymał się kupy. Powiada
więc na przykład narrator,
że przywieziony przed chwi-
lą pacjent kwalifikuje się
na stół operacyjny. Po czym
dodaje: „...ale to nie koniec
jeszcze, bowiem potrzebna
jest zgoda pacjenta”. Tu
głos zawiesza, chrząka i za
chwilę poczynając mówić zgo-
ła o czym innym — a my
nie wiemy, ani co z tą zgo-
dą, ani w ogóle w czym
rzecz. Czyżby poturbowani
łodzianie wzbraniałi się
przed opatrunkiem? Czy też
autor zasłyszal przy jakiejś
okazji, że trafiają się przy-
padki zgoda nieuzasadnion-
ego, ba, niemal zgubnego dla
pacjenta leku przed nożem
chirurga? Ale jeżeli nawet
coś takiego zasłyszal, to po-
kie licha pchał te światła u-
wagę do audycji?

Dalej dowiadujemy się
jeszcze rzeczy niezwykłych,
jak to, że lekarze w czasie

dyżuru pracują ciężko, ta-
koż ruszają w obchód po
szpitalnych salach; ogląda-
my chłopczyka, któremu naj-
pewniej zrobił się przyszyk
pod oczkiem, oglądamy rze-
dy tajemniczych butli i —
przenosimy się do studia,
gdzie p. Marian Zdrojewski
poczęła maglować kompe-
tentnych przedstawicieli or-
ganów wymiaru sprawiedli-
wości.

Sama rozmowa, jak rozmo-
wa — w miarę nudna, wy-
pełniona statystycznymi da-
nymi, które bez ilustrującej
planszy czy wykresu „nie
mają prawa” bodaj na mo-
ment utrwalić się w pamię-
ci słuchaczy, prowadzona
chłodno przy zupełnym nie-
mal bezruchu kamer. P.
Zdrojewski usiłował nas
wprawdzie pod koniec prze-
konać, że tego typu audycje
będą popularizowały — czy
jak się tam wyraził — nor-
my prawne w społeczeń-
stwie, ale my nie wierzy-
my.

Niestety, nie będą!

J. PANASEWICZ

Co piszą inni?

No i proszę — stateczna
„Twórczość” coraz to bar-
dziej poczynając się interes-
ować XI Muzą. W ostatnim,
sierpniowym numerze znaj-
dujemy aż trzy pozycje po-
święcone sprawom telewiz-
yj, co prawda ze względu
na długi cykl produkcyjny
miesięcznika spóźnione, ale
niemniej interesujące.

Ernest Bryll omawia in-
scenizację telewizyjną „Od-
prawy posłów greckich” Ko-
chanowskiego, „Nocy” Nor-
wida i „Beniowskiego” czy-
tamy:

„Mówiąc o telewizyjności
warto zaznaczyć, że, jak w
większości wypadków tea-
tralnych spektakli w TV, po-
przednie dwie inscenizacje
były raczej tylko przystoso-
wane do wymogów małego
ekranu. Hanuszkiewicz po-
stanowił wykorzystać do
swojej interpretacji wszyst-
kie sposoby, jakimi operują
nie literackie, a publicystycz-
ne audycje TV. Dla tych,
co obserwują mniej więcej
systematycznie codzienny
program, jasne było, że na
przykład chwyt z nieru-
chomymi planszami fotogra-
ficznymi przesuwanymi za
plecami narratora, to po-
 prostu wykorzystanie do-
świadczeń „Peryskopu”.

I dalej, w zakończeniu:
„To bowiem, że telewizja
dysponuje możliwościami,
które pozwalają według zu-
pełnie nie rozumieć. Osta-
tecznie zostać na niedzielę
w domu przy pogodzie tak
znakomitej, to było jakiejś
wyrzeczenie — kto zwinął,
ten zwinął, ale obowiązkowo
telewizji było kibiców jakos
pocieszyć.

Niechby jednak była i ta
przerwa, gdyby nie zenujące
targi z przesunięciem na póź-
niejszą transmisję. Początko-
wo obiecano nam dwadzie-
ścia minut (od 19.10 do 19.30),
potem — na drodze łaski —
przedłużono rzecz jeszcze o
kwadrans, żeby w trakcie
największych emocji i naj-
większego napięcia zejść z
wizji i uraczyć nas dzienni-
kiem. Ja rozumieć, że są lu-
dzie których sport nie nie
obchodził, ale rozumieć też
kibiców — są rozżaleni, wie-
kli i wyobrażam sobie te la-
winę listów, która posypie
się na głowy telewizyjnych
dyrektorów.

Myślę zresztą, że telew-
izja winna była przeprowa-
dzić transmisję do końca i
kibicom się nie narażać. Wie-
le żniósł, ale nie igranie z
ich nerwami.

Pytanie:
— Czy ktoś pomyślał o
telewizyjnej rewii tanecz-
nej?

Odpowiedź:
— Nie mieliśmy okazji
zauważyć.



Filmy na małym ekranie

Oto interesujące dane na zentowanych na małym e-
kranie. temat zestawu filmów pre-

Na I półrocze br. rzecz wygląda następująco:

miesiąc	fabularne	krótkometr.
I	18	39
II	14	24
III	15	34
IV	20	25
V	15	33
VI	15	29
	97	184

Z tych 97 filmów fabu-
larnych 45 zakupiła tele-
wizja we własnym zakresie,
a 52 otrzymała z Centrali Wy-
najmu Filmów, przy czym
trzeba pamiętać, że więk-
szość producentów filmo-
wych zgadza się na udziele-
nie licencji telewizji dopiero

po zejściu filmu z ekranu.
Zarazem w tymże I pół-
roczu br. specjalna komisja
zakwalifikowała do wyświet-
lenia w telewizji 41 filmów
fabularnych, 10 filmów se-
ryjnych oraz 49 filmów krót-
kometrażowych.

Odrzuciła natomiast głów-
nie na skutek niskiego po-
ziomu artystycznego — 53
filmy fabularne, 11 filmów
seryjnych i 68 krótkometra-
żówek.

Oba zestawienia wydają
się być dość charaktery-
styczne...

PROGRAM na najbliższe dni

CZWARTEK — 7.IX

17.15 Program dnia (L). 17.20
Program dla dzieci: „Książka
czeka na ciebie” (W). 17.50
„Kobieta XX wieku” — pro-
gram z cyklu „O wsi dla wszy-
stkich” (L. ogólnop.). 18.25
„Klasy” — magazyn aktualności
filmowych (L. ogólnop.). 19.00
Sprawozdanie z międzynarod-
owych zawodów lekkoatletycz-
nych Polska — Anglia (W). 19.30
Dziennik telewizyjny (W). 19.50
D. c. sprawozdania sportowego
(W). 20.55 „Nie tylko dla pań”
magazyn (W). 21.25 Teatr „Ko-
bra” — „Kwiat lotosu” wid. sen-
sacyjne wg scenariusza Jana
Kosa (W). 22.25 Ostatnie wia-
domości (W).

PIĄTEK — 8.IX

17.10 Program dnia (L). 17.15
Film krótkometrażowy (L. lok.).
17.30 Młodzieżowy program
publ. (P). 18.00 „Wymarłe mi-
asto” — film z serii „Mój ko-
ś” (W). 18.30 „Porozmawiajmy”
(W). 18.55 „Wszelchnia TV”:
„Lavoisier” — program z cyklu
„Człowiek i jego dzieło” (K).
19.30 Dziennik TV (W). 20.00
Wszystkie Dni Tygodnia (L).
20.30 „Człowiek z budki sutfle-
ra” — komedia Tadeusza Ryt-
nera (przeniesienie z Teatru
Zielonogórskiego do studia TV
Poznańskie). 22.15 Ostatnie
wiadomości (W).

SOBOTA — 9.IX

16.55 Program dnia (L). 17.00
Przemówienie charge d'affaires
PRL (W). 17.15 Program dla
dzieci „A co dalej?” (W). 17.30
Film fab. dla dzieci (W). 19.00
Program tygodnia (L). 19.30
Dziennik TV (W). 20.00 „Z wi-
zyta w berlińskim teatrze Ber-
tolda Brechta” — rep. filmo-
wy (W). 20.25 „Czarujące istoty”
— film fab. prod. francuskiej
dozwolony od lat 16 (W). 22.15
P.K.F. (W). 22.25 Ostatnie wia-
domości (W). 22.30 Kabaret
Starszych Panów — progr. pt.
„Długa wiosna” (W).

NIEDZIELA — 10.IX

9.25 Reportaż z wystawy Por-
tepu Technicznego w Rolni-
ctwie na placu Defilad (W). 10.00
Sprawozdanie z uroczystości do-
żynkowych, Transmisja ze Sta-
dionu X-lecia (W). 13.30 Prze-
wa. 15.05 Program dnia (L).
15.10 „Wysoko, gorąco i wilgot-
no” — film z serii Disneyland
(W). 16.00 Program dla dzieci
„Teatrzyk Violinek” (W). 16.40
„Księga dżungli” — film fab.
prod. angielskiej (W). 18.20
P.K.F. (W). 18.30 „Grecja i
Rzym” — teleturistyczny (W). 19.30
Dziennik TV (W). 20.15 „Ru-
dzielec” — film fab. produkcyj-
francuskiej (W). 21.55 Niedziela
sportowa (W).

Rozpacz kibiców

Sobota i niedziela za-
powiadały się na ilus-
te dni dla kibiców
sportowych — szosowe ko-
larskie mistrzostwa świata
i drużynowe mistrzostwa
świata na żużlu, to nie były
jakieś graiki, biorąc pod u-
wagę, że żużel jest niesły-
chanie widowiskowy i — co
więcej — niesłychanie tele-
wizyjny.

Po transmisji z Berna bar-
dzo sprawnie przeprowadzo-
ni przez Szwajcarów, do
szczęścia kibiców brakowa-
ło tylko sukcesów naszych
reprezentantów — odbiór
był bowiem wyśmienity, a
obsługa trasy przez dziewięć
harmonijnie rozrzuconych ka-
mer — bez zarzutu.

Gorzej poszło z transmisją
wrocawską. O 15-tej, na-
lora zapowiedziano pocza-
tek zawodów, spiker grze-
cznie przeprosił widzów
tłumacząc się, że część gości
jeszcze nie przybyła, na za-
wody — no, to byłoby pół
biedy, siła wyższa jak zwy-
kło się mawiało, ale dlaczego
ogłoszono dwugodzinna
przerwę zamiast szybko wy-
pełnić lukę czymś atrakcyj-
nym (filmem?). tego już zu-

pełnie nie rozumiemy. Osta-
tecznie zostać na niedzielę
w domu przy pogodzie tak
znakomitej, to było jakiejś
wyrzeczenie — kto zwinął,
ten zwinął, ale obowiązkowo
telewizji było kibiców jakos
pocieszyć.

Niechby jednak była i ta
przerwa, gdyby nie zenujące
targi z przesunięciem na póź-
niejszą transmisję. Początko-
wo obiecano nam dwadzie-
ścia minut (od 19.10 do 19.30),
potem — na drodze łaski —
przedłużono rzecz jeszcze o
kwadrans, żeby w trakcie
największych emocji i naj-
większego napięcia zejść z
wizji i uraczyć nas dzienni-
kiem. Ja rozumieć, że są lu-
dzie których sport nie nie
obchodził, ale rozumieć też
kibiców — są rozżaleni, wie-
kli i wyobrażam sobie te la-
winę listów, która posypie
się na głowy telewizyjnych
dyrektorów.

Myślę zresztą, że telew-
izja winna była przeprowa-
dzić transmisję do końca i
kibicom się nie narażać. Wie-
le żniósł, ale nie igranie z
ich nerwami.

W ramach baletowego hobby:



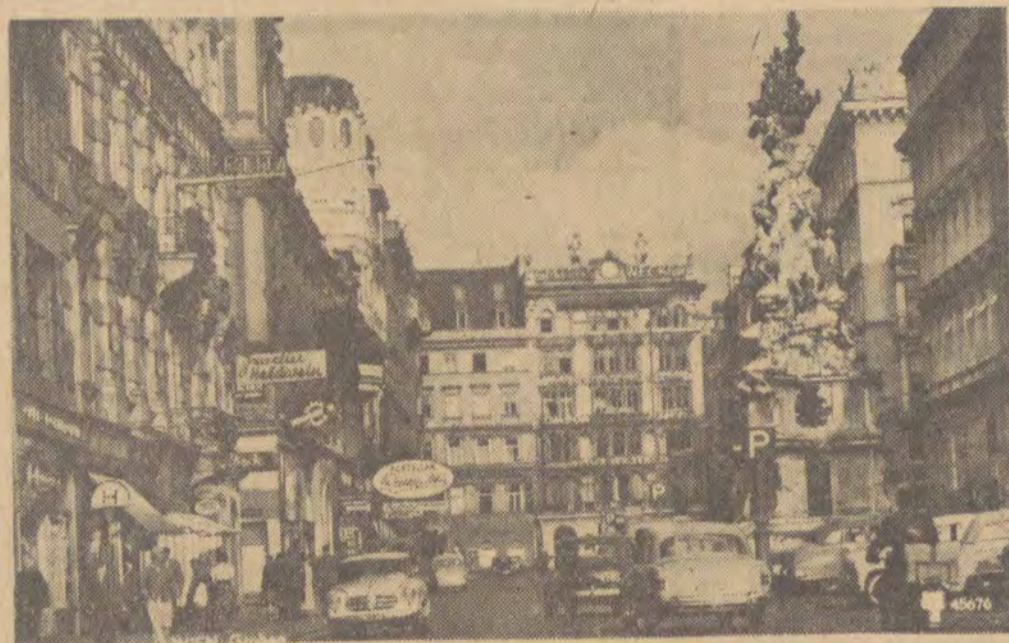
Pytanie:

— Czy ktoś pomyślał o
telewizyjnej rewii tanecz-
nej?

Odpowiedź:

— Nie mieliśmy okazji
zauważyć.

„Gdy mi ciebie zabraknie”...



Kreci się szybko olbrzymie „diabelskie” koło na wiedeńskim Praterze. Jarzą się tysiące kolorowych żarówek oświetlających ogromny teren wesołego miasteczka — strzelnice, tory wyścigowych samochodzików, wymyślne karuzele, pochylne, parkiety do tańca, przytulne kawiarenki i winiarnie. Z megafonów płynie rzewna piosenka, z którą spotykam się nie czem rodak z rodaczką na dalekiej obczyźnie — „Gdy mi ciebie zabraknie” — piosenka Hanni Rek. W Wiedniu śpiewa ją Rosa Litz i piosenka podbiła serca wiedeńczyków.

Idziemy przez Prater wolnym krokiem — mój wiedeński znajomy i ja.

— Zobacz — mówi mój towarzysz — jak tu dziwnie czysto. Przecież Prater pozostał ten sam, pamiętam go od lat trzydziestu, takim był chyba i za czasów mego ojca, takim był gdy ja byłem jeszcze młody, ale przed tym ludzkie były inni — potrafili się cieszyć i weselić — na Praterze słyszałem tylko skoczne melodie — polki, walec — melodie żywe i pogodne, a słowa wiedeńskiej piosenki tęgły zawsze optymizmem, zawsze o promienione były uśmiechem ludzi wesołych. Ładna ta piosenka śpiewana przez Rose Litz, ale po co ciągle mówić o rozstaniu?

Ja jestem jednak praktyczniejszy i pytam o aktual-

ne ceny i zarobki. Wiadomo na czym świat stoi!

— Słuchaj, ta koszula kosztuje 300 szylingów, 800 szylingów kosztuje czynsz komorniany za pokój z kuchnią, za buty trzeba zapłacić 400 szylingów, obiadu tańszego niż za 15 szylingów nie zjesz, a ta dziewczyna, która przytula się do swego chłopca, idzie o tu, obok przemysłowej huśtawki, nie zarabia więcej jak 1.200 szylingów.

Gdy żegnamy się przed wejściem do mego hotelu mój przyjaciel stwierdza smętnie:

— Zmieniło się tu, dużo się zmieniło...

Moi wiedeńscy znajomi mają ze mną kłopot — wczoraj „znalazłem” się na ulicy niczym kmiotek, który ze wsi przybył do wielkiego miasta — po prostu przechodząc ulicą „dałem się” potrafić olbrzymiej ciężarówce. Niby nie, ale z miejsca znalazł się lekarz, który samochodem odwiózł mnie do domu, gdzie na resztę dnia zapakowano mnie do łóżka. Głupia historia!

Od rana posadzano mnie w wygodnym fotelu, nogi płem troskliwie okryto, dało książkę do ręki — nie wolno ci się ruszać — czytają i powracają do formy.

I obo przypomniał mi się film, w którym dziennikarz z polanymi nogami test bezsilnym świadkiem zbrodni oglądanej przez okno. Ja zbrodni co prawda nie oco-

kuje, ale okna mego pokoju wychodzą na wąską uliczkę. O trzy metry za inne okna, także szeroko otwarte, a przez nie widać dużą salę, a w tej sali przy dziewiętnastych maszynach siedzą ładne wiedeńskie dziewczęta.

Dopiero niedawno minęła godzina 8. Dopiero niedawno spoza chmur nad Wiedniem ukazało się słońce. Duża, ciemna sala przerobiona za pewne z lokalu mieszkalnego oświetla 12 żarówek zawieszonych nad 12 blatami maszyn. Przy maszynach siedzą 12 pochylonych dziewcząt. W kącie sali niczym nauczyciel przy katedrze za siadł chyba właściciel owej „fabryki”. Czyta poranną gazetę, a w niej zapewne jeszcze góły bestialskiego mord, który popełnił na 6 kobietach austriacki „Mazurkiewicz”. — Maks Gufler. Proces rozpoczął się dziś rano o 9-ej. Gazety są pełne sensacyjnych szczegółów tej niecodziennej, bądź co bądź, zbrodni.

Proces procesem, sensacja sensacją, ale mężczyzna siedzący przy stole w 12-oso- bowej salce nie zapomina, że czas to pieniądz — co raz to zerkną gazetę na pracujące dziewczęta. Ufryzowane, elegancko główki nisko pochylają się nad turkotającymi maszynami. Ręce szybko przekładają dzianinę. Noga oparta na wyłączniku elektrycznym od czasu do czasu podnosi się — maszyna nieruchomieje, wtedy gazetę opuszcza się niżej, a czujny wzrok szefa spoglą-

da bacznie — no, co tam się znów stało?

Zgrabne palce blondynki już uchwyciły nylonową nitkę i szybko ją związały, sto pa opadła na pedał, maszyna znów jest w ruchu, gazetę znów podnosi się wyżej.

...W JAKI TO WIEC SPOSOB MAKS GUFLER MORDOWAŁ SWE OFIARY?

12 elegancko ufrzowanych główek pochylonych nad 12 blatami maszyn, w dół ku podłodze spływają kolorowe fałdy materii, które pod zręcznymi palcami pracujących dziewcząt przemieniają się w elegancką bieliznę damską. Furkoczą więc i szumią maszyny ustawione w ciemnej salce oświetlonej 12 żarówkami.

...MAKS GUFLER MORDOWAŁ SWE OFIARY WSYPUJĄC IM DO WINA LUB INNEGO NAPOJU SRODEK NASENNY — 6 KOBIET POZBAWIŁ W TEN SPOSOB ŻYCIA, TYLKO JEDNA...

— Na, nun was ist den los?

Jedna maszyna znów zamilkła. Właściciel spojrzawszy na gazetę, ale dostrzec widocznie musiał coś bardzo poważnego, gdyż odłożył pismo, podniósł się od biurka, podszedł do siedzącej koło okna dziewczyny. Uważnie pochylił się nad dzianiną. Palcem wskazał chyba na błąd mówiąc coś ostrym podniesionym głosem. Dziewczyna wstała, pokornie spuściła głowę, wysłuchując zapewne słów na grany. I znów pracują wszystkie maszyny — dwanaście.

...TAK, TAK TEN GUFLER TO BYŁ JEDNAK KAWAŁ LAJDAKA. WSYPUJĄC LAJDAKA NASENNY, DO WINA, A POTEŃ GDI OFIARA SPAŁA, MORDOWAŁ...

Od jednej z maszyn podnosi się wysmukła brunetka. Idzie ku drzwiom...

Szef spogląda bacznie na zegarek. Patrzy i ja. Jest godz. 11.17. Szef odłożył gazetę i czeka. Jedenastą minutę osiemnaście, dziewiętnaście, dwadzieścia dwie — dziewczyny nie było pięć minut. Teraz już wróciła, stoi w ciemnym obramowaniu drzwi, zatrzymała ją głowa szefa. Czy będzie musiała się tłumaczyć, że ma przebiegany pecherz lub zepsuty żołądek?

...TAK WIEC TYLKO HERCIE JUNN UDAŁO SIĘ UJŚĆ Z ŻYCIEM Z RAK



Gufler przed sądem.

BESTIALSKIEGO MAKSA. PO PROSTU HERTA ZAPOMNIAŁA DOPEŁNIĆ WSZYSTKICH FORMALNOŚCI UBEZPIECZENIOWYCH JEJ ŚMIERĆ WIEC NIE PRZYNIOSŁABY GUFLEROWI W TYM STANIE RZECZY ŻADNEGO POŻYTKU...

Dwanaście maszyn szumi bezustannie, dwanaście główek — blondynki, brunetki i ta jedna ruda pilnie pochylone nad blatami maszyn. O, jak wolno posuwają się wskazówki zegara. Ile to jeszcze czasu do godziny 13? Jeszcze 45 minut, jeszcze 30, jeszcze...

...COŚ PODOBNEGO? A WIEC GUFLER NIE TYLKO POŁOWAŁ NA PRAGNĄCE WYJŚĆ ZA MĄŻ KOBIETY, GUFLER RÓWNIEŻ DWA RAZY POPEŁNIŁ MORDERSTWO RABUNKOWE — ZA CO WIEC PŁACIMY PODATKI? TYL LE LAT LAJDAK GRASOWAŁ PO ŚWIECIE I POLICJA NIE MOĞŁA GO UCHWYCIĆ?

Naraz w sali zapanowała cisza. Przez oba okna do mego pokoju nie płynę już warkot pracujących maszyn. Spoglądam na zegarek — godzina 13. Dziewczęta siedzą spokojnie i nieruchomo przy maszynach i dopiero gdy szef wstaje i składa gazetę, podnoszą się i one także — o Boże, przez wa obładowa — zdreptała ramiona i nogi, potem po bieca na róg do taniutkiej restauracyjki, gdzie zje się po dwie parówki i po małej bułce, a później jeszcze zostanie 15 minut czasu by na Franc Józef Kaj, na pięknym bulwarze przez 15 minut popatrzyć na ciągnące sznurem eleganckie i wytworne limuzyny.

Gdy w salce na vis a vis zawraczały maszyny bez patrzenia na zegarek wiedziałem, że jest godz. 14.

W kioskach już od 13 godzin sprzedaje się gazety popołudniowe, już od godziny mali chłopcy biegają wykrzykując ochrypniętymi głosami: „Pierwszy dzień procesu Guflerera!!!” „Gufler nie przyznaje się do winy!!!!”

Szef czyta więc znów gazetę, czyta o przebiegu procesu w dniu jego rozpoczęcia, a dziewczęta znów pochylone nad maszynami plać. Oczywiście uważnie wpatrują się w dzianinę, stopa przyciska pedały elektrycznego włącznika, ręce posuwają kolorową nitkę. Mija godzina za godziną — 15, 16, 17 — o 18-ej zamknięta maszyny. Pierwszy wstanie szef, za nim podniosła się do maszyn dziewczęta — trzy blondynki, cztery brunetki, cztery szatynki i jedna ruda. Poza nimi pozostanie ciężko przepracowany dziesięciogodzinny dzień pracy. Jutro znów przyjdą do ciemnej salki oświetlonej 12 żarówkami. Tak będzie i w środę, i w czwartek, i w piątek — w sobotę nie przyjdą. Te sześć godzin odpoczywały w ciągu tygodnia, bo w poniedziałek pracuje się 10 godzin — do 19-ej. Ale w piątek, gdy będą szły do domu być może, że szef im powie — no widzicie, macie jutro wolny dzień — w Austrii w sobotę się nie pracuje...

Zegar na Stephanskirche dostojnie wydzwaniał godzinę — raz, dwa, trzy, cztery, pięć, sześć. Dziewczęta naczynem zwinęte dotychczas sprężyny zrywają się gwałtownie ze swych miejsc. Poprawiają włosy, przeciągają pomadką po wargach. Jedna, ta brunetka, podchodzi do okna i śpiewa piosenkę którą usłyszała być może właśnie na Praterze: „Gdy mi ciebie zabraknie”, piosenkę, która z Polski do Wiednia przybyła.

WŁADYSŁAW RYMKIEWICZ

„Droga do życia”

Tytuł do recenzji wziąłem z opowiadania Tadeusza Papiera zamieszczonego we wspólnym tomie utworów o buntach chłopskich w latach 1932—1937 (znalazły się tam m.in. prace Jana J. Żwirki, Macieja Słomczyńskiego, Jana Wilkora, i Stanisława Zielińskiego). „Przed świtanem”, wydany przez Spółdzielnię Wydawniczą „Czytelnik”, w 1953 roku.

W tym samym roku ukazało się drugie opowiadanie Tadeusza Papiera „Wróble”, również w zbiorowym tomie, wydany przez „Iskry”.

W obu opowiadaniach uwaga autora była skierowana na sprawy polityki i stosunków majątkowych na wsi. (W „Droga do życia”

została przeprowadzona dokumentacja związku ruchów chłopskich z działalnością bojowników KPP, we „Wróblach” została poruszona sprawa dziedziczenia ojcowizny i wrogiej propagandy przeciwko ruchowi spółdzielczemu). Były to czasy kiedy literatura ulegała naciskowi: wąsko pojętej tematyki społeczno-gospodarczej. Odnosnie obu opowiadań krytyka podkreślała jednak dobrą znajomość przez autora stosunków wiejskich, co nie mogło dziwić, zważywszy, że Tadeusz Papier był długoletnim współpracownikiem czasopism przeznaczonych dla wsi i nie przestał się interesować tematyką wiejską. Wynikiem tych zainteresowań był wydany nie dawno przez Wydawnictwo

Łódzkie zbiór reportaży „Zielony szlak”, a ostatnio — tom opowiadań pt. „Dwa wygnania”.

Drogę przebył przez pisarza od jego pierwszych utworów, pisanych w niełatwych warunkach, do ostatniego tomu nazwałbyśmy właśnie — drogą do prawdy czyli do życia.

Nie przyniata tych opowiadań ciężar zagadnień społeczno-prawnych, przeciwnie, oba są przepojone liryzmem, którego źródło bije z poetyki wspomnień. Takim wspomnieniowym ujęciem odznacza się tytułowy utwór „Dwa wygnania”, w którym bohater, przyjeżdża do wsi, gdzie spędził swe najlepsze lata i gdzie chce przyjąć z pomocą swemu byłemu starszemu nau-



Tadeusz Papier

czycielowi, uwikłanemu w przykre sprawy. Akcja opowiadania mająca posmak sensacji w dobrym tego słowa znaczeniu, zacięła i przykuwa uwagę czytelnika. Niestety, autor nie wydobyl wszystkich możliwości, jakie mu nastręczył dobry pomysł i zakończenie zawodzi oczekiwania. Zie rozwiązany finał degraduje utwór do rzędu szkicu powieściowego, który pisarz mógł rozbudo-

wać wykorzystując znajomość stosunków wiejskich i pokazując, na przykład, jak się załamują dźwigi w umysłach ludzi wspomnienia okupacji na wsi (druga niewy-zyskana możliwość), i pogłębiając problem skrócenia dwóch pokoleń (trzecia niewy-zyskana możliwość).

Znacznie lepsza jest druga pozycja „W Zapolicach”, (nie pozbawiona zresztą pesymistycznych akcentów). Sądząc z opisu panujących w Zapolicach stosunków niewiele zmieniło się pod względem obyczajowym na polskiej wsi. Dramatyczny spór o ziemię pozwolił Tadeuszowi Papierowi zarysować bogatą galerię chłopskich typów od zabobornego Janica i jego przeciwnika, „Mileczka” Izidora Sliwa przez groteskowe postacie Zastawki, Małego Pionki i dziada kościelnego Michała do drugoplanowych zabawnych figur księdza, a dwokata i mierniczego.

Opisy krajobrazu, scen obyczajowych, pogrzebu, sprawy sądowej, dobrze podparzona nieudolnością i chyłnością,

zręcznie uchwycone szczegóły charakterystyczne dla umysłowości chłopca (cudowne „ozdrowienie” na bagnach) tworzą interesujące tło dla rozgrywanego się, zaciętego sporu o ziemię.

„W Zapolicach” (jak i w „Dwa wygnania”) uderza stopniowanie nastroju i zreżne zagęszczenie wydarzeń zmierzających do kulminacji. Tadeusz Papier posiada w dużym stopniu umiejętność zaciękania czytelnika sprawami chłopskimi. Nie potrafi jednak doprowadzić interesującego przebiegu wydarzeń do równie efektownego zakończenia. Szkoda, że i w drugim opowiadaniu niedostatecznie wyeksponowana polna ta osłabia końcowe wrażenie tego rzetelnie podbudowanego znajomością wsi i jej ludzkiego utworu.

odpisy str. 11

KOMU PIOSENKĘ?

Mieczysław Voit misternie modulując głos mówił: „Prosimy” i szarmancko wprowadzał następną gwiazdę, gwiazda zaś przeważnie bardzo nieinteligentnie odpowiadała na zadane jej pytanie i śpiewała kolejny przebieg.

Działo się to wszystko w sierpniu, w ramach pierwszego sopockiego Międzynarodowego Festiwalu Piosenki, który odbywał w Gdańsku w hali stoczni. Działo się na olbrzymiej scenie, udekorowanej wielkim godłem festiwalu na tle eleganckich smoków, dobrej orkiestry Stefana Rachonia i zupełnie przeciętnej Edwarda Czernego. Działo się w obecności kilku tysięcy widzów, z których każdy, zapłaciwszy kilkadziesiąt złotych, przybiegł, by obejrzeć rewie gwiazd o rzadko spotykanej jakości. O gwiazdach i o jakości potem. Na razie stwierdzenie podstawowe: bardzo dobrze, że się taką imprezę urządziło. Festiwal Piosenki i plebiscyt na piosenkę są na pewno imprezami godnymi kontynuacji, godnymi powtarzania co rok. A to z kilku zasadniczych względów. Pozwala przede wszystkim na bezpośredni i niejednostronny kontakt z publicznością, na zorientowanie się w jej gustach. Dają odpowiedź na pytanie, jakiej piosenki publiczność potrzebuje. Taki rekonans dostarcza też wiadomości niemal tak ważnych (inna rzecz czy w praktyce wykorzystywanych) — pozwala zorientować się, jak i w jakim kierunku trzeba gusty publiczności kształtować. Rzecz jasna, festiwal propaguje piosenkę, eksportuje ją i popularyzuje za granicą, daje możliwość bezpośredniej konfrontacji piosenki polskiej i zagranicznej. Korzyści więc ogromne. Wypada żywić instytucjom organizującym festiwal (instytucjom, nie osobom — to dwie zupełnie inne rzeczy) powodzenia w staraniach o kontynuację, samemu zaś festiwalowi mniej zakulisowych głosów twierdzących, że jest to półprywatna impreza na której ktoś się nieźle obłowił. Wypada też życzyć, aby organizacja festiwalu miała tak samo europejski szlif, jak festiwalowe widowiska. W organizacji bowiem aż nadto było widoczne, że chodzi tu nie tyle o popularność, ile o pieniądze. Stąd pewnie w tej europejskiej imprezie brak biura prasowego dysponującego rzeczową informacją i stąd zbyt częste wypadki odprawiania z kwitkiem wielu dziennikarzy zmuszonych potem do nielegalnego przemycania się na widowisko. A swoją drogą byłoby historią niesłychanie ciekawą, gdyby ktoś zechciał opublikować ile taka impreza kosztuje i ile daje zupełnie materialnych korzyści. Ile i komu.

II.

Jak właściwie jest z polską piosenką? Ściąga już od wielu lat na siebie gromy publicystów, narzekania słuchaczy radiowych, publiczności i powoduje tęskne westchnienia za przebojami Pogorzelskiej, Ordonówny i Foggy. A mimo to ludzie słuchający, mają swoje ulubione piosenki i ulubionych wykonawców. I zdaje się nie ulegać wątpliwości, że w powodzi utyskiwania polska piosenka nabrała swoistego charakteru, swoich cech osobowych. Twierdzą tak, choć zdają sobie sprawę ze wszystkich rozlicznych słabości naszej piosenki.

Pierwsza i zasadnicza to — poza nielicznymi wyjątkami — beznadziejnie słabe, bardzo często pachnące szmirą teksty. Teksty produkowane według kilku modnych w danym sezonie szablonów, ciągle tak samo banalne i płytkie, bez lekkości, dowcipu i wdzięku. Teksty zupełnie nie dopasowane do muzyki piosenki, wprost się z nią gryzące. Wytworzył się u nas nowy rodzaj twórczości, najczęściej niestety w cudzysłowie artystycznej i nowy zawód — zawód „tekściarza”. Odsłaniające przykłady i odstraszające nazwiska zbyt często widnieją na łamach prasy, aby była potrzeba powtarzania ich jeszcze na tym miej-

zdo słabymi aktorami. Na palcach jednej ręki można policzyć tych, którzy interpretują bez zgrywania się, bez chorobliwego wygrywania każdego zwrotu.

Piosenka ma trzech twórców. Są nimi kompozytor, autor słów i wykonawca. Na przestrzeni ostatnich lat na firmamencie polskiego piosenkarstwa zabłysło i zgasło wiele gwiazd i gwiazdek. Mam jednak wrażenie, że tylko jedna z nich przejdzie do historii tak jak te, których nazwiska wymieniał wyżej. Jest nią Sława Przybylska. Obok niej występuje cała masa lepszych i gorszych piosenkarzy, i niestety — bardzo jeszcze wielu klusowników — Gniatkow-

wiedzieć o expressowych spotkaniach z piosenką i powstałym w wyniku ich Klubie Miłośników Polskiej Piosenki również reprezentowanym na festiwalu). Mieljmy nadzieję, że po festiwalu Woźniakowski dostanie się na bardziej eksponowane estrady, wykaże bowiem, że w pełni na to zasługuje. To świetny, duży głos. Pewna przesada w interpretacji jest na pewno wadą do wyleczenia.

Wielką niespodzianką była także Ludmiła Jakubczak. Znana dotąd z często nienajlepszych nagrań w oprawie scenicznej zyskała bardzo wiele. Jej interpretacja (śpiewała „Alabamę” Zylńskiego) wywołała entuzjazm bodaj największy. Jakubczak interpretuje trochę po amatorsku, ale odważnie, nie bojąc się żadnego efektu, i co ważne bardzo szczęśliwie. Ma chyba najlepsze ze wszystkich piosenek wyczuł rytmu i z tego względu interesujące chyba byłoby w jej nagraniu utwory jazzowe.

Pierwsze wyróżnienie wśród piosenek zdobyła jak wiadomo Irena Santor. Była członkini „Mazowsza” zrobiła w ostatnim czasie wielkie postępy, co w połączeniu z bardzo trafnym wyborem repertuaru (między innymi „Embaras” Wasowskiego i Przybory, i „Walczek na czterech rękach” Kaszyczka) dało świetne rezultaty.

Dla bardzo wielu widzów, a w tym i dla niżej podpisanego na festiwalu przede wszystkim była Sława Przybylska, mała niepozorna dziewczyna o pięknych oczach i urzekającym głose, śpiewająca z podbijającą serce bezpośredniością nawet w bardzo jej nie sprzyjających, niekamilnych warunkach.

Nie sposób też nie wspomnieć o największym nieporozumieniu festiwalu Violetcie Villas. Słusznie mówiło się za kulisami, że „ma głos, jak zyletka”. Obok tego zupełny brak obycia na scenie, żadna interpretacja i efekt — ogólne zdziwienie. W sumie jednak pierwszy dzień festiwalu był imprezą na pewno udaną (trzeba nadspodziewanie) toteż kiedy Mieczysław Voit (misternie modulując głos) po raz ostatni „poprosił” ostatnią gwiazdę rozeszliśmy się do domów bardzo ciekawie konfrontacji polskich piosenkarzy z ich zagranicznymi kolegami, których nazwiska zaczęły przypuszczać, że nie są to gwiazdy pierwszej jasności. I rzeczywiście, przeważnie nie.

Festiwalu dzień zagraniczny był przede wszystkim jednak kłóską konferansjerów, którymi tym razem byli Zofia Słaboszewska i Lucjan Kydryński. Zofia Słaboszewska zademonstrowała dobitnie, jak niezwykle trudno jest mówić zrozumiale po polsku. Kydryński zaś mocno nadwyrężył swój autorytet znawcy piosenek z krzyżującą przesadą kreując na gwiazdy piosenkarzy, którzy jako żywo nigdy gwiazdami nie byli i raczej nie będą. Myślę tu na przykład o reprezentantach Włoch i Francji.

W rozstrzygnięciach, w trzecim dniu festiwalu niespodzianek raczej nie było. Może tylko pewien zawód wywołał fakt, że nie wyróżniono meksykańskiej śpiewaczki Casanovas, która się ogólnie podobala.

I znów Mieczysław Voit, tym razem już po raz ostatni (misternie modulując głos) powiedział: „prosimy” i festiwal zakończono. Polską piosenkę czeka podobno zagraniczna sława, mają ją śpiewać zagraniczne gwiazdy i w ogóle zanoszą się, że piosenka zmieni swoją ojczyznę z ziemi francuskiej i włoskiej na polską. Mimo wszystkich niewątpliwych pozytywów ja skromnie radziłbym lat kilka jeszcze poczekać.

Festiwalowe rozmowy

Z autorami zwycięskiej piosenki

RYSZARD SIELICKI kompozytor, ukończył konserwatorium w Moskwie studiując kompozycję u Dmitrija Szostakowicza. Skomponował wiele znanych przebojów między innymi „Gorąca noc”, „Na Francuskiej”, „Si senior”, „Czarny szal” i inne.

MIROSŁAW LEBKOWSKI autor nagrodzonej piosenki pt. „Dla ciebie miły”. Napisał słowa do wielu popularnych piosenek, między innymi „Na strażnicy”. Jako anonim pisywał słowa do piosenek partyzanckich znanych i popularnych do dziś.

— Czym panowie tłumaczą wielki sukces Waszej piosenki?

— Istnieje zapotrzebowanie na łatwą i melodyjną piosenkę taneczną. Kompozytorzy i autorzy polscy piszą piosenki, których rytm jest tylko rygiem formalnym. Nasza piosenka jest, jak nam się wydaje, łatwa i łatwo wpadająca w ucho. Stąd jej powodzenie.

— Jaką piosenkę wyróżnili panowie spośród innych piosenek plebiscytowych, oczywiście, gdyby nie było w ich liczbie piosenki „Dla ciebie miły”?

— Wśród piosenek festiwalowych jest na pewno wiele wartościowych i pięknych, które zdobędą sobie po pewnym czasie powodzenie i staną się przebojami.

Ze Sławą Przybylską

— Chcielibyśmy poznać Pani opinię o festiwalu i oczywiście ocenę swojego w nim udziału.

— Bardzo źle się czuję śpiewając w takiej ogromnej sali i przy tak licznej publiczności. Jest mi potrzebna kameralna atmosfera. Za kulisami Festiwalu jest naprawdę szalenie miło. Panuje atmosfera rzadkiej koleżeńskości. Przed piątkowym koncertem w garderobie wszystkie koleżanki, bardzo wydatnie sobie pomagały przy makijażach, toaletach itp. Mamy po tym okazji spotkania się, posłuchania siebie, co się rzadko zdarza.

— Jest Pani na pewno jedyną piosenkarką otoczoną pewnym mitem. Mówi się o pani jako o kobiecie smutnej i trochę nieszczęśliwej. Ile w tym jest prawdy?

— Może i jest w tym trochę prawdy, ale to trochę nie tak. Taki sąd o mnie wypływa pewnie z tego, że zawsze jestem pełna buntu przeciwko życiowym szablonom i konwenansom.



Zdobywczynie I nagrody w konkursie piosenkarzy zagranicznych Danka Birthe Wilke

scu. Pół biedy jeszcze, gdyby tym popłatnym zawodem parala się jakaś duża grupa ludzi — dopuszczaloby to większą możliwość „zdarzenia się” dobrego tekstu. „Tekściarze” jednak stanowią bardzo nieliczną i nie lubiącą konkurentów grupkę. Dopiero w ostatnich czasach za ten rodzaj twórczości zaczynają się zabierać poeci z prawdziwego zdarzenia, co od razu daje widoczne rezultaty. (Przy okazji chciałbym poinformować rodzimego znawcę piosenki z „Dziennika Łódzkiego” pana Juliusza Zawieje że Jerzy Ficowski jest autorem — bagatelka — kilku tomów wierszy i najlepszym bodaj w Polsce znawcą, tłumaczem i popularizatorem poezji Cyganów). Jeśli już o tekstach mowa: warto zwrócić uwagę, że niemal zupełnie nie istnieją polskie piosenki o krótkim, prostym tekście. Każda prawie ma solidną fabułę, bohatera i obfituje w bogaty walek przygodowy. Drugim z ważnych mankamentów jest brak lekkości ale wartościowych piosenek tanecznych, w których tekst grałby rolę czynnika ułatwiającego tylko śpiewanie melodii. Stąd pewnie wyjątkowa popularność zwycięskiej plebiscytowej piosenki Sielickiego i Lebkowskiego, która właśnie te warunki spełnia.

Piosenka polska to przede wszystkim piosenka aktorska. I tu paradokś. Polscy piosenkarze dysponujący z reguły dobrymi głosami są bar-

skich, Rawiczów i innych. I to jest chyba potrzeba chwili: podniesienie pulapu wymaga łepienia klusownictwa.

III.

A więc wychodziła najpierw Irena Dziedzic — samym wyjściem wywołując zbiorowe westchnienie aprobaty, za nią wytworny Mieczysław Voit, chwilę przed mikrofonami rozmawiali po czym Mieczysław Voit — misternie modulując głos — mówił: „prosimy” i szarmancko wprowadzał na estradę nową gwiazdę. Zaś przedtem, jeszcze przed koncertem, sopocki „Grand Hotel” roił się od gości. Przy obiedzie lub przy kawie pokazywano sobie palcami — to Rek, to Rolska, to Polomski. Łowcy autografów, niepewne ukłony („czy aby poznać?”), błyski fleszy i w ogóle tak zwana atmosfera. A obok tych gwiazd, równie licznie choć nie tak już sponiatycznie obiegani byli dyrektory polskich piosenek — ci z radia, ci z nagrań i ci z wydawnictw. Nieco na uboczu około 150 dziennikarzy, którzy już swoje zrobili, bo reklamowali festiwal i wobec tego mogli odejść. Ponieważ nie odeszli musieli cierpieć — byli bezdomni, nie mieli kart wstępu, i jednak nie mogło zepsuć ogólnego optymizmu, oczekiwania i podniecenia tą wielką rewiją. Toteż kiedy Mieczysław Voit po raz pierwszy (misternie modulując głos) powiedział: „prosimy” szczerze wypełniona hala wybuchła długo nie milknącymi brawami.

Tym pierwszym zaproszonym okazał się Tadeusz Woźniakowski z niezrozumiałych przyczyn znany dotąd tylko łódzkiej publiczności. (Tu kilka słów ciepłych warto po-



Polska „Miss Piosenka,” zdobywczynie I miejsca — Irena Santor